ČENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 30 Maja 1937 R. NR. 21-22

O duszę Narodu

«Lecz Narodu duch zatruty,
To dopiero bólów ból»
(Krasiński)

W ostatnich kilku tygodniach zaszedł szereg faktów, pozornie niezwiązanych ze sobą, które jednak składają się w jednolitą całość, stanowiąc smutny obraz stanu moralnego pewnej części polskiego społeczeństwa.

Milczenie wobec tego rodzaju faktów ze strony tych, którzy mają poczucie odpowiedzialności za stan moralny swego Narodu, jest grzechem. Tym większym, im bardziej przez to milczenie może utrwalić się pogląd, że polska opinia publiczna jest jednolita, lub niemal jednolita, w bagatelizowaniu tego rodzaju spraw. Tym bardziej, że rzeczą najistotniejszą w danej sprawie są nie tylko fakty—przykre, smutne, oburzające, lecz zawinione przez garść ludzi o pomniejszonym poczuciu odpowiedzialności — ile właśnie sposób podania tych faktów przez dużą część tej wyrazicielki opinii publicznej, jaką jest prasa.

Lecz naprzód przypomnienie faktów.

Dnia 1 maja odbywały się w Warszawie pochody robotnicze. Pochody te odbywały się naogół w zupełnym porządku. W kilku miejscach porządek ten został jednak zakłócony. Czynnikiem wywołującym zajścia była przede wszystkim młodzież akademicka.

Już sam tego rodzaju fakt ma szczególnie charakterystyczną wymowę. Można rozmaicie zapatrywać się na zagadnienie 1 maja, można być przeciwnikiem wszelkich ruchów socjalnych, lecz nie można zamykać oczu na fakt, że w wywoływaniu i uzewnętrznianiu specyficznego antagonizmu: student contra robotnik — jest wysoce nieprzyjemny i niebezpieczny nonsens społeczno-polityczny.

Wśród zajść wywołanych przez zorganizowaną grupę studentów jedno miało charakter szczególnie tragiczny. Doprowadziło ono do tego, że w dzielnicy żydowskiej od kul napastników - studentów padła pewna liczba ofiar. Wśród tych jedna okazała się śmiertelna. Było nią pięcioletnie dziecko.

Wiek tej ofiary był jak gdyby podkreśleniem całej absurdalnej bezcelowości zabójstwa, dokonanego w danym wypadku w uwieńczeniu akcji dywersyjnej, podjętej przez grupę może nawet dobrej woli młodzieży, z której część odpowiadać będzie w niedługim czasie przed sądem za morderstwo dziecka.

Rozpatrywany z jakiejkolwiek strony: z punktu widzenia sprawy ofiary zajścia, z punktu widzenia sprawy morderców, przede wszystkim zaś z punktu widzenia społeczno - narodowego — fakt ten w normalnych warunkach nie mógł być oceniany inaczej, jak tylko jako wyjątkowo bezcelowy i wyjątkowo tragiczny.

Lecz przejrzyjmy prasę warszawską z owych dni! — Stosunek do tego faktu bynajmniej nie jest tak jasny i wyraźny. „Grupa panów w jasnych gabardinowych płaszczach", osłaniając swój odwrót, dała kilka strzałów. Podkreślanie porządku odwrotu. Brak wyrazów ustosunkowania się do zajścia.

Grupa „panów w jasnych gabardinowych płaszczach"? — Kto zna wymowę i znaczenie symbolów, musi obawiać się, aby ta „grupa panów w gabardinowych płaszczach", przeciwstawiająca zorganizowaną akcję legalnemu pochodowi robotniczemu, używająca broni palnej i zabijająca w konsekwencji dziecko żydowskie — nie stała się na czas dłuższy swoistym symbolem pewnych cech stosunków społeczno-politycznych w Polsce dzisiejszej, cech, których nonsensowna bezcelowość w niektórych swych przejawach sięga granic zbrodni.

•

Inny wypadek, mniej tragiczny w swych skutkach, lecz dziwnie charakterystyczny w sposobie reakcji prasowej, to epizod, związany z obchodami święta narodowego, przypadającego w rocznicę czczonej, między innymi, za swą szlachetną tolerancyjność Konstytucji 3-go Maja.

Grupa uczestników, powracających z pochodu, manifestowała swój antysemityzm. Jednym z przejawów tej manifestacji było wrzucenie na bulwarach spotkanego Żyda do Wisły. Zajście na pograniczu zbrodni, tym znowu charakterystycznej, iż bezcelowej, lecz dającej specyficzne świadectwo anarchii myśli i anarchii warunków życia.

Lecz zbrodnia, nawet bezcelowa, możliwa jest w każdym społeczeństwie. W jaki jednak sposób zajście to znalazło swój wyraz w części prasy polskiej? — Proszę porównać odpowiednie numery prasy t. zw. „narodowej" z owego okresu.

Tytuł: „przymusowa kąpiel w Wiśle". Sposób pisania — jak o dobrym figlu młodzieńczym. Konkluzja ostateczna — krótkie stwierdzenie, niemal że z pewnym żalem: „ten jednak zdołał się wyratować".

Sprawa jednak nie jest tak błaha. Ameryka zna podobny typ zbrodni, popełnianej zbiorowo, a związanej z niechęcią, czy nienawiścią rasową. Jednakże różnica pomiędzy amerykańskim „prawem Lynchu", a bezmyślnością wkradającej się w nasze życie anarchii jest ta, że w Ameryce podstawą zbrodni zbiorowej jest przekonanie o winie i zbrodniczości prześladowanej jednostki. A zarówno moralna, jak też społeczna szkodliwość zbrodni jest tym większa, im mniejsze można dla niej znaleźć umotywowanie z punktu widzenia jej naturalnej celowości. W Polsce w tej chwili w pewnych kołach naszej opinii wytwarza się charakterystyczne zobojętnienie na przejawy zbrodniczości o absolutnym braku umotywowania. Ujemność tego zjawiska chyba nie wymaga komentarzy.

•

Trzeci przykład — zagadnienie z punk-

tu widzenia społeczno - politycznego najdonioślejsze: niedawne wypadki brzeskie.

Nie będziemy powracali do przedstawiania szczegółów zajść. Znowu bardziej charakterystyczna, niżeli same zajścia, jest tutaj reakcja pewnej części prasy. Tłum może działać pod sugestią chwili, w gorączce, w nieprzytomności. Na pomniejszenie odpowiedzialności tłumu może składać się szereg czynników.

Lecz na pomniejszenie odpowiedzialności, to nie znaczy na usprawiedliwienie, tym bardziej na pochwałę. Tymczasem sposób relacjonowania części prasy polskiej z przebiegu zajść brzeskich był w wysokiej mierze zarówno niemoralny, jak nieodpowiedzialny. Cokolwiek można powiedzieć o przyczynach dokonanego przez tłum zniszczenia — fakt sam pozostaje faktem: zajścia o tym charakterze i typie obniżają niezmiernie strukturę naszego życia i porządku prawno - państwowego, obniżają naszą pozycję wśród innych państw świata.

Tymczasem jak te sprawy wyglądają na łamach dużej części naszej prasy. Nacisk w relacjach położony na co: 1) na dokładność dokonanego zniszczenia, jako na zabezpieczenie przed ponownym uruchomieniem splądrowanych przez tłum sklepów i zniszczonych warsztatów; 2) na bezinteresowność niszczącego działania tłumu, przy czym — obok wzruszających rzekomo przejawów tej bezinteresowności, jak deptanie zegarków etc. — zamieszcza się radosne konstatacje, że równocześnie nastąpiło radykalne oddłużenie Brześcia przez zniszczenie wszystkich weksli handlowych, w szczególności weksli ze sprzedaży ratalnej. W całym sposobie przedstawienia sprawy — obok uzasadnionej ewentualnie troski o pomniejszenie odpowiedzialności tłumu przez wykazanie tragicznego podłoża jego rozdrażnienia — spotykamy niedopuszczalny ton już nie pomniejszenia odpowiedzialności, nawet nie usprawiedliwienia, lecz wprost pochwały dla dokonanego dzieła zniszczenia.

Tego rodzaju ton — zbyteczne chyba jest tutaj uzasadnienie szczegółowe — jest przejawem dziwnego zaślepienia. W latach niewoli umieliśmy okazywać odporność na wpływy moralne Rosji. Czyżbyśmy istotnie dzisiaj mieli iść po tej linii, by na naszym gruncie państwowym swobodnie rozwinęły się i utrwaliły najgorsze tradycje i obyczaje państwa rosyjskiego, przy równoczesnym przeszczepianiu na nasz grunt społeczno - narodowy sposobów myślenia i czucia najgorszej części rosyjskiego narodu?

Lecz na wszystkie tego rodzaju argumenty ze strony pewnej części polskiego narodu pada odpowiedź: „tak, lecz sprawa żydowska jest najważniejszą sprawą Polski w chwili dzisiejszej. W tej sprawie trzeba trzymać się zasady, że cel uświęca środki!"

Sprawa żydowska? — Nieprawda, w danym wypadku nie chodzi o sprawę żydowską. Tam, gdzie chodzi o popieranie polskiego mieszczaństwa, polskiego rzemiosła i handlu, gdzie chodzi o zorganizowanie i popieranie emigracji żydowskiej, nawet tam, gdzie omawia się sprawę numerus clausus, czy numerus nullus na wyższych uczelniach, gdzie wreszcie uchwala się takie, czy inne uchwały o niedopuszczaniu elementu żydowskiego do zrzeszeń o charakterze społecznym, czy zawodowym — wszędzie w tych wypadkach może być istotnie mowa o sprawie żydowskiej, niezależnie od poglądu na celowość proponowanych środków działania.

Jednakże w tego rodzaju wypadkach, jak ustalenie moralnego stosunku do zajść o charakterze zbrodni pospolitej, czy anarchicznych przejawów pogromowego działania tłumu — tam zanika już, lub przynajmniej schodzi na plan drugi, sprawa żydowska. Na planie pierwszym pozostaje sprawa duchowej wartości Narodu.

W dzisiejszych czasach dziwnego przyćmienia zdolności pojmowania rzeczy jasnych, samo tego rodzaju zdanie może dla wielu wydawać się frazesem bez treści, jakąś pozostałością minionej epoki. Tak nie jest. Mówiąc o znaczeniu duchowej wartości Narodu, trzeba mieć świadomość, że nie chodzi tu o jakąś czułostkowość, czy też o podnoszenie haseł sprzecznego z realizmem politycznym mesjanizmu polskiego. To są zagadnienia realne.

Polska jest i zapewne dłuższy jeszcze czas będzie w stadium ustalania swojej pozycji wśród innych państw i narodów świata. Otóż są metody działania, które jej to zadanie ułatwiają, są inne, które ją poniżają.

W pewnym okresie próbowano na terenie międzynarodowym znaleźć zewnętrzny wyraz tego poniżenia w postaci narzucenia nam umów i zobowiązań międzynarodowych, mających jak gdyby charakter pewnego rodzaju podkreślenia i stabilizacji naszej niepełnoletności moralnej w stosunku do innych państw Europy. Odczuliśmy to, słusznie, jako krzywdę i poniżenie. Słusznie też przeprowadziliśmy walkę o uwolnienie się z pod zewnętrznych form sankcjonowania tej niepełnoletności.

Lecz walczyć z niesłusznym teoretycznym założeniem o naszym niedorozwoju mocarstwowo - państwowym, to coś absolutnie innego, niżeli zamykać oczy na to, co musi się przyczyniać do potęgowania podstaw i racji tego rodzaju poglądów.

Czy tego rodzaju dziedzina pojęć moralnych może w pewnych warunkach być transponowana na realny układ pomyślnych, czy niepomyślnych warunków politycznych? Przekonały się o tym wymownie Niemcy w czasie wojny. To, co było czynnikiem realnej i istotnej siły: patriotyzm Narodu, męstwo żołnierza, dzielność dowództwa, stawało się zawsze czynnikiem zwycięstwa. Skłonność do nieposzanowania zasad moralnych, przejawy barbarzyństwa i dzikości — zamieniały się w konsekwencji w źródła klęski. Lecz Niemcy były pod tym względem w sytuacji bezporównania bardziej niezależnej i wygodnej, niżeli my jesteśmy. Zacieranie w sercach i mózgach Narodu różnicy pomiędzy pojęciami szlachetnymi i nieszlachetnymi może być w swych ostatecznych konsekwencjach dla nas bardziej kosztowne, aniżeli dla nich.

Mówienie o tego rodzaju konsekwencjach z racji zajść na stosunkowo drobną skalę, jak te, których świadkami byliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni, może wydawać się czymś absolutnie niewspółmiernym z istotą tych zajść. To też jeszcze raz podkreślamy: chodzi nie o same te zajścia, chodzi o kierunek kształtowania się myśli i uczuć Narodu. A to nie jest rzecz drobna, ani przemijająca.

Polska powstała do nowego życia przed laty kilkunastu z wielkimi aspiracjami natury zarówno polityczno - państwowej, jak i moralno - kulturalnej. Nie dopuszczajmy do tego, abyśmy mieli wymienić te aspiracje na aspiracje innego rodzaju: wyróżnienia się w rzędzie państw Europy ciasnotą myśli, dzikością obyczajów, nieszlachetnością dążeń.

W latach ostatnich liczny jest w Polsce krąg procesów, których treścią jest oskarżenie tych, czy innych jednostek o obrazę Narodu Polskiego. Pamiętajmy jednak, że z punktu widzenia rozumnej godności narodowej na ostrzejsze potępienie od tego, kto źle mówi o naszym Narodzie, zasługuje ten, który wartość i godność tego Narodu pomniejsza przez czyny nieszlachetne, zwłaszcza dokonywane samozwańczo jak gdyby w imieniu i na odpowiedzialność Narodu.

Walka z tego rodzaju przejawami, walka bezapelacyjna, odważna, mądra, jest podstawowym obowiązkiem wszystkich odpowiedzialnych w Polsce czynników bez względu na ich przekonania polityczne, czy związki o charakterze obozowym, czy partyjnym.

W tego rodzaju walce, nie mniej owocnie i realnie niżeli w jakiejkolwiek innej, może zawsze znaleźć swój wyraz każde szczere dążenie do istotnie Wielkiej Polski.

Nie może ono natomiast wyrażać się w tego rodzaju formach działania, których istotą jest ubożenie, pomniejszanie i pogarszanie tej wielkiej podstawowej wartości, jaką jest zbiorowa dusza Narodu.

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

Zbigniew Domaniewski

Polityka zagraniczna a nauka historii

Zjawienie się państw totalnych na horyzoncie polityki światowej stworzyło sugestię, że narody, a raczej ich intellekt i duch, mają przeznaczone odgrywać coraz to mniejszą rolę w biegu spraw politycznych międzynarodowych. W państwach totalnych, gdzie rządzą w sposób absolutny nieliczne j e d n o s t k i, naród, odnośnie polityki zagranicznej, tak zresztą jak i wewnętrznej, w gruncie rzeczy już nic nie ma do powiedzenia. Naród bywa wprawdzie wzywany czasami do dania sumarycznej odpowiedzi „tak" czy „nie", ale dzieje się to tylko wtedy, kiedy jakiś olśniewający sukces rządu wzbudzi chwilowy odruch entuzjazmu. I na tym kończy się widoczny i uchwytny udział narodu w kształtowaniu się polityki zagranicznej, prowadzonej przez rząd w państwach totalnych. Oczywiście, nie wszystkie państwa są totalne, a raczej te ostatnie stanowią mniejszość. Ale nie ulega wątpliwości, że pod wpływem metod rządzenia, jakie są stosowane w państwach totalnych, nawet i w państwach demokratycznych daje się zauważyć tendencja ku ściślejszej etatyzacji polityki zagranicznej. Przykładem tego może być stosunek rządu polskiego do sprawy gdańskiej, albo stosunek rządu francuskiego do kryzysu hiszpańskiego; w obu tych wypadkach polityka państwowa uniezależniła się całkowicie od stosunku, w jakim do danej kwestii znajduje się naród.

Nie jest zresztą nowym problemem pytanie, w j a k i m s t o p n i u zorganizowana opinia publiczna i parlament, a więc organy, za pośrednictwem których narody demokratyczne wyrażają swą wolę, mają wywierać wpływ na politykę zagraniczną rządu. Problem ten jest już istotnie nie młody, ale dziś szczególnie się zaostrzył. Nastąpiło to dla tej prostej przyczyny, że polityka zagraniczna, która zapobiega lub wywołuje wojnę, która polepsza lub pogarsza byt materialny narodu, sięga w podstawy i przyszłość życia narodowego w dzisiejszych warunkach bytowania i wojowania daleko głębiej, aniżeli wczoraj. Jeżeli więc w tej sytuacji, w której problemy pokoju i wojny, wymiany międzynarodowej i autarchii rysują się w perspektywie tragicznego „być albo nie być" — jeżeli więc w sytuacji, w której jakiś zasadniczy błąd, popełniony przez rząd na płaszczyźnie polityki zagranicznej, może pociągnąć za sobą dla narodu klęski nieobliczalne, rząd uzurpuje sobie w y ł ą c z n e prawo decydowania, to nic dziwnego, że narody szczególnie silnie reagują na próby ścieśnienia ich prawa kontroli nad polityką państwową. Leży w tym właśnie jedna z głównych przyczyn, dla których na tle wydarzeń politycznych międzynarodowych powstały ostatnio w niektórych z państw europejskich i pozaeuropejskich niezmiernie silne zaognienia wewnętrzne. Druga przyczyna tych zaognień, które, jak np. wypadki w Japonii, zyskały rozgłos światowy, leży niewątpliwie w tym, że dziś, kiedy właśnie problem wojny i pokoju rysuje się dla narodów w perspektywie niebywale tragicznej, rządy, uzurpujące sobie na wzór monarchów absolutnych wyłączne prawo stanowienia w sprawach polityki zagranicznej, równocześnie wymagają od narodu w niebywałej mierze poświęcenia i koncentracji woli w danym kierunku. A więc z jednej strony chęć całkowitego odsunięcia narodu od decyzji, z drugiej, stawianie mu maksymalnych wymagań udziału, jeśli chodzi o ślepą realizację powziętych przez rząd postanowień.

Jakiż sposób na to, aby unicestwić tkwiący tu widoczny absurd? — Nic innego, jak tendencyjne wychowanie narodu w takich pojęciach, które pozwolą mu później akceptować bez zastrzeżeń politykę zagraniczną rządu. Bowiem nie z dziś na jutro wytycza się magistralne linie tej polityki. Nie z dziś na jutro decyduje się o wojnie i pokoju.

We współczesnej niemieckiej literaturze politycznej spotykamy powtarzane z naciskiem, napisane przed przeszło stu laty następujące zdanie niemieckiego teoretyka i filozofa wojskowego von Clausewitz'a: „Wojna jest prowadzeniem dalej polityki przy pomocy innych środków". Pod tym zdaniem podpisaliby się w chwili szczerości z pewnością mężowie stanu większości państw świata. W metodach polityki międzynarodowej nie zaszły od czasów Clausewitz'a zasadnicze zmiany. Jeżeli prędzej czy później wybuchnie wojna, to będzie ona konsekwentnym dalszym ciągiem tej polityki jednego lub paru państw, której fazę początkową obserwujemy obecnie.

Nie jest jednak prostą sprawą taka analiza polityki państwa, któraby umożliwiła rozpoznanie charakteru i kierunku jego ewentualnych zamiarów agresywnych. Z całą słusznością podkreślają dyplomaci, że zbrojenia, nie wyłączając masowego zaopatrywania armii w broń ofensywną, nie są wystarczającą podstawą do twierdzenia, że dane państwo ma zamiar zaatakować jednego ze swych sąsiadów. O zamiarach agresywnych państwa świadczą zbrojenia tylko wtedy, kiedy towarzyszy im taki rozwój idei politycznych, jaki jest potrzebny, aby w narodzie powstała c h ę ć podjęcia wojny napastniczej. Żaden rząd nie chce narzucać narodowi wojny, tylko pragnie raczej decyzją swą obudzić utajone w narodzie energie i zapały wojenne. Jest np. błędem twierdzenie, że faszyzm n a r z u c i ł Włochom wojnę z Abisynią. Wojna ta była m. in. naturalną konsekwencją idei o wskrzeszeniu klasycznego Imperium Rzymskiego, poruszającej od kilkunastu lat wyobraźnię i budzącej u ludności Włoch pragnienie zdobyczy terytorialnych. Polityka faszyzmu wychodziła ze słusznego założenia, że chcąc wszcząć wojnę zdobywczą z dużymi widokami powodzenia, trzeba, niezależnie od zbrojeń materialnych, uzbroić poczucie moralne narodu w przekonanie, że wojna będzie wyrazem rewindykacji słusznych i uczciwych. Narody chwytają dziś za broń tylko w przekonaniu słuszności i uczciwości walki. Wyrobienie takiego przekonania wymaga, ze strony kierowników narodu planujących napaść, wielu lat pracy i odbywa się dlatego w okresie pokoju, kiedy się daje na wszystkie strony pacyfistyczne zapewnienia.

Jednym więc z głównych zadań polityki zagranicznej musi być zwracanie bacznej uwagi na rozwój idei politycznych w państwach ościennych. Przy tym należy zaznaczyć, że prasa codzienna jest w coraz to mniejszym stopniu wiernym wyrazem ducha politycznego kraju, gdyż stopień skrępowania prasy codziennej rośnie, szczególnie w kwestiach, dotyczących polityki zagranicznej. W daleko większym stopniu można, powiedzmy, p o d e j r z e ć zamiary polityczne kraju w publikacjach o charakterze naukowo - politycznym. Tradycja powiada, że nauka jest uniezależniona od tendencji politycznych panujących w łonie państwa; praktyka dowodzi, że tak nie jest. Ale z drugiej znów strony, zgodnie z utartym zwyczajem, dowodzenia polityczne na płaszczyźnie naukowej nie są tak, jak treść prasy codziennej, uznawane za wyraz opinii politycznej kraju. W każdym zaś razie rząd nie odpowiada na płaszczyźnie dyplomatycznej za to, co piszą w swych pracach o kwestiach politycznych uczeni. Literatura naukowo-polityczna może skutkiem tego z całą otwartością myśli wychowywać obywateli tak, jak tego wymagają potrzeby e w o l u c j i n a r o d o w e j, bez oglądania się na c h w i l o w e p o s u n i ę c i a polityki państwa w grze dyplomatycznej, która nieraz zmienia się z dnia na dzień. W państwach totalnych literatura naukowo - polityczna, zachowując pozory n a u k i, stała się integralną częścią p o l i t y k i państwowej. Jest właśnie jednym z głównych środków, przy pomocy których państwo totalne wychowuje obywateli tak, aby

potem ślepo i bez szemrania wykonywali dalekosiężne plany rządu. W państwach totalnych została również zmobilizowana i skoszarowana na usługi polityki nauka historii. Ona to ma dostęp do najszerszych warstw społeczeństwa, a nade wszystko do młodzieży. Ona pierwsza zaczyna kształtować polityczne myślenie obywatela.

W N-rze 30 „Narodu i Państwa" z ubiegłego roku analizowaliśmy pewne przykłady, wyjęte z naukowo - politycznej literatury niemieckiej, wskazujące na stosunek Trzeciej Rzeszy do jej granicy wschodniej. Stwierdziliśmy wtedy, że na każdym kroku spotykamy się z dowodzeniami, które:

1) przedstawiają polskie ziemie zachodnie jako „ziemie ludu niemieckiego";

2) przeciwstawiają dzisiejszej suwerenności polskiej w korytarzu i Poznańskim — „ziemiach ludu niemieckiego" (deutscher Volksboden) — suwerenność Prus w latach 1795 — 1807 w głębi „właściwej Polski" z miastem Warszawą, z czego ma wynikać, że granica polsko - niemiecka powinna w przyszłości zająć jakieś pośrednie położenie;

3) starają się przekonać, że jedynie ruchy ku Wschodowi, podejmowane przez lud niemiecki, doprowadziły go do trwałych zdobyczy i skutkiem tego dotychczasowa, zachodnia orientacja polityki zagranicznej Rzeszy powinna ustąpić miejsca orientacji wschodniej;

Zwracaliśmy wtedy uwagę, że w t. zw. „Arbeitgemeinschaften für Geopolitik", utworzonych z inicjatywy władz Trzeciej Rzeszy, wre praca nad znalezieniem pobudek do nowego „Drang nach Osten", a równocześnie dyplomacja niemiecka rokuje o organizację pokoju na Zachodzie Europy z widoczną chęcią uniknięcia zobowiązań t r w a ł y c h co do pokoju na Wschodzie Europy. Od tego czasu, t. zn. od września 1936, nie wiele co zmieniło się w stosunku Auswartiges Amt do zagadnienia pokoju. Ale zaszedł pewien fakt, zdaniem naszym ważny, oświetlający jeszcze jaśniej działalność dyplomacji niemieckiej.

Mianowicie został ogłoszony w Niemczech (w czasopiśmie „Nationalsozialistische Erziehung") tekst układu, zawartego między niemieckimi a francuskimi profesorami i nauczycielami historii, a ujednostajniającego poglądy na pewne fakty historyczne z dziedziny stosunków francusko-niemieckich, które nauka historii po jednej i drugiej stronie Renu przedstawiała i komentowała dotychczas różnorodnie. Układ ten, omawiający 39 zagadnień, ma być, jak twierdzi „Frankfurter Zeitung" w artykule wstępnym 12 maja, ilustracją słów Hitlera, który w roku zeszłym, przemawiając w Karlsruhe, powiedział m. in.: „Przekonany jestem, że po upływie pewnego czasu nie będzie można już nawet pojąć, jak dwa narody mogły żyć w sferze t. zw. wrogości dziedzicznej... Starałem się wykazać, że kontynuowanie tej tak zwanej wrogości dziedzicznej między Niemcami a Francją musi być i jest nierozsądne, gdyż bezsensowne... Wierzę w ten ideał i wierzę, że kiedyś wreszcie i tutaj zatryumfuje rozsądek. W każdym zaś razie jest koniecznie, uczynić wszystko, aby temu rozsądkowi ułatwić zwycięstwo".

Jakby w odpowiedzi na te słowa Hitlera zarówno Niemcy jak Francuzi mogli podpisać b e z z a s t r z e ż e ń punkt 5 układu, traktujący o A l z a c j i. Jedni i drudzy „są w zgodzie stwierdzając, że Alzacja, która była w średniowieczu i w czasie reformacji krajem o niemieckiej mowie i kulturze, zachowała po roku 1648 swą językową i po większej części kulturalną indywidualność, ale że Rewolucja roku 1789 spowodowała, iż weszła ona całkowicie we francuską wspólnotę życiową. Jedni i drudzy wyrażają zgodnie przekonanie, że byłoby ważne z m i e n i ć sposób, w jaki podręczniki traktują zagadnienie Alzacji-Lotaryngii". Jak czytamy dalej w tekście układu, podręczniki niemieckie nie powinny już więcej nazywać Alzacji i Lotaryngii „obszarem czysto niemieckim". Dopełnia zaś tego wskazówka dla autorów przyszłych podręczników, że należałoby w nich omawiać szczególnie obszernie te okresy historii stosunków francusko - niemieckich, w których układały się one normalnie. W każdym zaś razie należy, aby w kwestiach, ujmowanych w Niemczech i we Francji zasadniczo różnorodnie, nauczyciele objaśniali temat z o b u punktów widzenia. W ten sposób nauka historii nie będzie budziła wzajemnej nienawiści narodów. A jeśli w obecnej chwili silnego napięcia międzynarodowego rząd Rzeszy zdecydował się pierwszy ogłosić tekst układu historyków w czasopiśmie, poświęconym zasadom wychowania narodowo - socjalistycznego, to najwidoczniej Rzesza ma s z c z e r y i u c z c i w y zamiar pokojowego współżycia z Francją. Odpowiadają temu wprawdzie już od dawna wielokrotne oświadczenia niemieckich mężów stanu, że między Niemcami a Francją nie istnieją żadne terytorialne kwestie sporne. Ale d o p i e r o uznanie przez rząd Rzeszy, że należy uczyć Hitlerjugend, iż Alzacja i Lotaryngia należą do f r a n c u s k i e j całości narodowej, z a c z y n a p r z e k o n y w a ć o s z c z e r o ś c i pokojowych w stosunku do Francji zapewnień dyplomacji niemieckiej.

Wzamian za to—drogą kontrastu—trudno uwierzyć w szczerość zapewnień niemieckich o pokojowych zamierzeniach Rzeszy w stosunku do Polski. Ujmując to pozytywnie, powiemy, że Polacy tak długo nie uwierzą w szczerość pokojowych zapewnień d y p l o m a c j i niemieckiej, jak długo niemiecka n a u k a h i s t o r i i nie zawtóruje dyplomacji akompaniamentem prawdy i sprawiedliwości, a więc dwiema zasadniczymi nutami prawdziwego pojednania.

Do tego jednak — jak się wydaje — jeszcze daleko. Obserwujemy raczej proces odwrotny: w z m o c n i e n i e w niemieckiej nauce historii nuty nieprzejednanego rewizjonizmu i wzrost liczby jawnych kłamstw. Na ten temat dużo w Polsce w ostatnich czasach pisano. Jeśli chodzi o t e r y t o r i a l n y wzrost apetytu rewizjonistycznego, to klasycznym przykładem jest hitlerowskie wydanie znanego historycznego atlasu Putzgera. „Uczeni" hitlerowscy posunęli się tu do istotnych gwałtów, dokonanych na dobrze naukowym tej cenionej firmy wydawniczej. Na kliszach map stereotypowych, wykonanych dla poprzednich wydań atlasu, które np. oddają wiernie rozmieszczenie Słowian i Germanów w epoce powstawania państwa polskiego, hitlerowscy „korektorzy historii" dokonali „retuszy", w rezultacie których oglądający dowiadują się, że np. w X wieku Poznańskie zamieszkiwali nie tylko Polacy, ale i... Germanie. Ekspertyza graficzna niektórych map historyczno - etnograficznych wskazuje ,że na odpowiadających im kliszach zatarto poprostu kolory, oznaczające Słowian osiedlonych na zachód od Wisły. Gdzieindziej znów, gdzie tak samo było potrzeba zatuszować fakt, że ziemie aż po Łabę są to prastare ziemie słowiańskie, opuszczono w nowym wydaniu daty i przesunięto napisy „slawische Völker" tak daleko na Wschód, że na zachód od Wisły znajduje się tylko pierwsza litera. Nauka hitlerowska nie cofa się więc przed fałszowaniem dokumentów historii n i e m i e c k i e j, która do roku 1933 znała przecież g r a n i c e tendencji i fałszu. Dla historyków Trzeciej Rzeszy tych granic już nie ma. I nic dziwnego. Powiedział przecież Hitler swojego czasu: „Nie po to tylko uczymy się historii aby wiedzieć, co się wydarzyło, lecz aby znaleźć w historii mistrzynię naszej przyszłości". Te słowa wydrukowano jako motto atlasu.

A więc: na płaszczyźnie nauki historii, kształcicielki ducha młodych pokoleń, n a g r a n i c y z a c h o d n i e j Rzesza uznaje, że utracone przez nią w Wersalu terytoria n i e n a l e ż ą do niemieckiej całości narodowej i wchodzi w porozumienie z sąsiadem, aby „odtruć" naukę historii; natomiast n a g r a n i c y w s c h o d n i e j Niemcy fałszują własne dokumenty, aby wbijać w Hitlerjugend przekonanie, że ziemie aż po Wisłę to prastare ziemie germańskie, a terytoria, utracone przez Rzeszę w Wersalu, do dziś dnia jeszcze są „ziemią ludu niemieckiego".

Na płaszczyźnie rokowań dyplomatycznych Niemcy stale mówią, że nie mają w stosunku do Francji żadnych roszczeń terytorialnych i pragną z nią zawrzeć pakt o w i e c z y s t y m wyrzeczeniu się wojny; natomiast w stosunku do Polski Rzesza wyraźnie podkreśla, że obecnych granic nie może uznać i zawiera pakt o nieagresji tylko na lat 10.

Wreszcie — dyplomacja niemiecka podkreśla, że jedyną rzeczą, jaka dzieli Niemcy i Francję, są jej wschodnie sojusze. I to wszystko wystarczy na razie na temat „Niemcy między Zachodem a Wschodem". Wnioski nasuwają się same.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Saturnin Dąbrowski

Agraryzm jako misja dziejowa chłopstwa *)

*W sferach młodzieży ludowej wielkie zainteresowanie wzbudziła koncepcja społeczno - ideologiczna agraryzmu *). Koncepcja ta zasługuje na uwagę choćby ze względów, że odsłania ona dążenia w ruchu ludowym do wyjścia poza krąg spraw czysto wiejskich i rozszerzenia światopoglądu na szereg zjawisk społecznych i ekonomicznych, wynikających na tle całości gospodarstwa narodowego.*

Niżej zamieszczamy jako artykuł dyskusyjny rozważania o agraryzmie, traktując je jako próbę uwydatnienia realnych wartości tej koncepcji oraz wskazania na braki, które powinny być uzupełnione zbiorową pracą myśli.

Redakcja.

NA ZAKRĘTACH DZIEJOWYCH

W poszczególnych epokach rozwoju dziejowego czołowe miejsce zwykle zajmuje jedna warstwa społeczna, która w danym okresie wykazuje tak wielką prężność rozwojową własnego środowiska, że przoduje wszystkim dziedzinom życia narodowego i nadaje ton całej epoce.

Misja każdej z takich warstw w całej pełni wyodrębnia się, poczynając od pewnych wypadków dziejowych, które są jakby przełomem, świadczącym, że nowe siły i kierunki rozwojowe uzyskały przewagę nad starymi.

Wojny krzyżowe, to epoka narodzin rycerstwa, które drogą ewolucji przekształca się w stan szlachecki. (W Polsce linia rozwoju społecznego tej epoki pozornie tylko odbiega od linii zachodu. Nie mieliśmy dalece rozbudowanej drabiny ustroju feudalnego, lecz poza tym stosunki społeczne układały się pod wpływem kierunków, jakie szły z zachodu).

Wielka rewolucja francuska i związane z nią przewroty polityczne otwierają drogę nowoczesnemu mieszczaństwu, opartemu o gospodarkę kapitalistyczną.

W miarę rozbudowy przedsiębiorstw kapitalistycznych wzbierają na siłach warstwy proletariackie, które ewolucyjnie zdobywają coraz większy wpływ na kształtowanie się stosunków społecznych. Wyraziło się to przede wszystkim w reformach politycznych i w rozwoju instytucyj opieki społecznej.

Wojna światowa i związane z nią następstwa w stosunkach gospodarczych ujawniły rozległe sprzeczności i potężne siły rozkładowe, działające w łonie świata kapitalistycznego. Mieszczaństwo — ściślej mówiąc burżuazja — została strącona z pionierskiej pozycji w procesach rozwojowych naszej epoki.

Korzystając z osłabienia czynników kapitalistycznych — warstwy proletariackie wysunęły się na czoło i usiłowały zaprowadzić system społeczno - gospodarczy, odpowiadający ich własnej ideologii. W wystąpieniu tym proletariat wykazał wielką pewność siebie, głosząc, że zaprowadzony przez niego nowy ład rozwiąże wszystkie ujawnione dotychczas problemy i usunie ostre konflikty. W pewnych wypadkach środowiska proletariackie swe koncepcje ideowe usiłowały wprowadzić w życie z bezwzględnością, niespotykaną dotychczas w dziejach.

I oto już niemal cały okres jednego pokolenia mija wśród nieustannych zmagań wielkich kierunków i różnych systemów, a drogi dalszego rozwoju społecznego nie są jeszcze ustalone.

Czy warstwa, która ostatnia wystąpiła na widownię dziejową, jest na drodze do urzeczywistnienia swych zadań? Na pytanie to trudno jest dać twierdzącą odpowiedź. Przeciwnie, oceniając realnie stan rzeczy, należy stwierdzić, że śród ogółu coraz bardziej utwierdza się przekonanie, że misja, z jaką wystąpił proletariat, załamała się. Świadczy o tym fakt, że stan rzeczy, jaki usiłowali utworzyć rzecznicy sprawy proletariatu, nigdzie nie odpowiada zapowiedzianym ideom, a niejednokrotnie bezwzględnie im zaprzecza (eksperyment sowiecki). Skutkiem takiego obrotu misja proletariacka traci oparcie we własnym środowisku i masy niejednokrotnie zdradzają ją dla całkiem nieokreślonych ruchów, podporządkowanych doraźnym celom bez jasnych wytycznych na dalszą przyszłość (dyktatury faszystowskie różnych odcieni i komunistyczne).

WARSTWA CHŁOPSKA NA WIDOWNI DZIEJOWEJ

Pod względem uwydatnienia kierunku ideowego zbliżającej się epoki — znajdujemy się jakby w stanie ideowego bezkrólewia: — jaka warstwa nadawać będzie ton dalszemu rozwojowi stosunków gospodarczych, społecznych i kulturalnych?

Rywalizujące dotychczas o ten prymat — burżuazja i proletariat — znajdują się jakby w stanie równowagi sił i wpływów; — właściwie należałoby powiedzieć: w stanie równowagi bezwładu fizycznego i niemocy ideowej.

Czy rozwój dziejowy wprowadza na widownię nową warstwę społeczną?

Dla rozważenia tego zagadnienia ograniczymy się tylko do stosunków polskich.

W Polsce rozwój dziejowy niemal do ostatniej chwili odbywał się bez udziału najsilniejszej warstwy ludności — to jest chłopstwa. Ludność wiejska przez swą pracę stwarzała tylko materialne podstawy, na których inne warstwy rozwijały wartości, które obejmujemy pojęciem gospodarstwa polskiego, społeczności polskiej i kultury polskiej. W całym tym wysiłku twórczym wieś brała słaby udział i bynajmniej nie troszczyła się o zapewnienie dla siebie dobrodziejstw z dorobku cywilizacyjnego i kulturalnego.

Ta abstynencja i obojętność chłopstwa tłumaczy się tym, że system gospodarstwa społecznego przez długie wieki utrzymywał wieś w całkowitym odosobnieniu ekonomicznym. Natomiast warunki zewnętrzne — wolne obszary ziemi — umożliwiały zdobywanie podstaw dla bytu materialnego. Wprawdzie był to byt nędzny, ale utrzymywał się w dotychczasowym niezmienianym nastawieniu przy tradycyjnych formach gospodarowania.

Dopiero niedawno — jeżeli czas będziemy oceniać w perspektywie dziejowej — kapitalizm wyrwał wieś z ekonomicznego odosobnienia. Chłopstwo zetknęło się ze światem, a fakt ten rozszerzył w nim zainteresowania kulturalne oraz wzbudził nowe potrzeby cywilizacyjne. Jednocześnie poczęły się kurczyć podstawy materialne bytu ludności wiejskiej. Wyczerpane zostały obszary ziemi (uwzględniając konieczną parcelację), a gospodarka przy dotychczasowych sposobach nie dostarcza niezbędnych środków dla utrzymania wzrastającej ludności. Trzeba więc szukać nowych sposobów dla zapewnienia sobie bytu, odpowiadających warunkom wzrastających potrzeb kulturalnych i cywilizacyjnych.

Okoliczności te w warstwie chłopskiej wzbudziły coraz to potężniejszą prężność rozwojową.

Początkowo prężność ta nie spowodowała zbyt znacznego podniesienia pozycji chłopstwa w życiu wewnętrznym narodu, ponieważ narastające siły rozwojowe znajdowały ujście przez klapę bezpieczeństwa, jaką niezawodnie była emigracja.

Emigracja zewnętrzna pochłaniała najenergiczniejsze czynniki, których siła twórcza całkowicie była stracona dla społeczności wiejskiej i dla narodu. Emigracja wewnętrzna, do miast, odrywała liczne rzesze od rodzimego środowiska, własnej społeczności i zasilała nimi zastępy proletariatu miejskiego.

---

*) Na wstępie kilka słów usprawiedliwienia co do tytułu. Określenie „warstwy chłopskie" użyte zostało bez jakichkolwiek chęci wywołania efektów demagogicznych. Przez to określenie pragniemy uprzytomnić fakt upośledzenia ekonomicznego i społecznego rzesz wiejskich, a następnie wskazać na te właściwości socjologiczne, które z tych rzesz czynią podstawę cielesną organizmu narodowego. Rzesze chłopskie są protoplazmą, która przed wiekami wyłoniła inne warstwy narodu, a następnie nieustannie je zasilała. W współczesnej epoce proces przenikania sił żywotnych ze źródeł, bijących na nizinach społecznych, do wyższych warstw jest tak potężny, że nabiera znaczenia misji chłopstwa w narodzie.

Mimo odgrywania podstawowej roli biologicznej w organizmie narodowym rzesze wiejskie dotychczas nie przejawiły swej indywidualności społeczno - politycznej w całokształcie sprawy narodowej. (Indywidualność, przejawiająca się w etnicznych właściwościach życia ludu, stwarzała wartości, zamknięte w samym środowisku wiejskim). Rzesze wiejskie zachowały więc swój pierwotny charakter społeczny. Ich światopogląd ideologiczny jest prosty, lecz zarazem dziewiczy — nie obciążony konsekwencjami aktywności z przeszłości i nie wypaczony rutyną żadnych doktryn.

Określenie „chłopski" — zamiast romantycznego wyrażenia „ludowy"—dosadniej uwydatnia pierwotność rozwojową i dziewiczość ideologiczną, które to właściwości warstwom chłopskim dają pełnię swobody przy wyborze właściwej postawy wobec najdonioślejszych zagadnień bytu narodowego, jakie wysuwa chwila bieżąca i najbliższa przyszłość.

**) Stanisław Miłkowski: Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego. Kraków 1934 r. Nakład Związku Młodzieży Wiejskiej — Spółdzielni Oświatowej w Krakowie.

Obecnie, na skutek zbiegu różnych okoliczności zewnętrznych, działanie emigracyjnej klapy bezpieczeństwa zostało tak dalece ograniczone, że wcale nie daje ona upustu dla narastającej prężności warstwy chłopskiej. Nie znajdując ujścia dla swego materiału ludzkiego, wieś musi szukać innych sposobów, które rozwikłałyby problemy, związane z jej bytem i pracą, oraz wyprowadziły ją na szerokie i pewne drogi rozwoju gospodarczego, społecznego i kulturalnego.

Aby zadania tego dokonać, potrzebna jest koncepcja, która ogarnęłaby wszystkie zagadnienia życia wsi i w realnych warunkach obecnego bytu narodu wyprowadziła jasny drogowskaz przyszłości.

HUMANITARYZM OBECNIE JEST NIEDOSTATECZNĄ PODSTAWĄ DLA RUCHU LUDOWEGO

Ruch ludowy w swej dotychczasowej postaci jest przejawem dążeń humanitarnych. Jako taki walczy o podniesienie godności ludzkiej chłopstwa, o przyznanie mu pełni praw obywatelskich i zapewnienie dostępu do wszystkich zdobyczy kultury. Idea ludowa również głównie z pobudek ludzkich przeciwstawia się porządkowi społecznemu, który z kultury uczynił przywilej wybranych i tym wybranym pozostawił władzę nad ogółem.

Należy stwierdzić, że w takim ujęciu uczuć i pojęć idea ludowa święci pełny triumf: — powszechnie zdobyła serca i umysły.

Jeżeli mimo tego triumfu moralnego ruch ludowy nie zdołał całkowicie przetworzyć stosunków realnych, to dowód, że sama idea nie wystarcza, lecz musi być uzupełniona konkretnym programem przebudowy społeczno - gospodarczej. Na taki program ruch ludowy dotychczas nie mógł się zdobyć, gdyż swoje zainteresowanie ograniczał wyłącznie do spraw wsi, występując jako rzecznik interesów i dążeń chłopskiego rolnictwa.

Chłopstwo w Polsce nie może pomieścić się w dotychczasowym układzie społecznym i gospodarczym, musi więc podjąć inicjatywę zaprowadzenia nowego ładu. Lecz w tych dążeniach nie może ograniczać się tylko do spraw rolniczo-wiejskich.

Aby dziś rozwiązać palące problemy wsi, równocześnie trzeba rozwikłać wiele podstawowych spraw w stosunkach gospodarczych, społecznych i kulturalnych całego narodu. Okoliczności powyższe wysuwają żywioł wiejski na arenę dziejową i w jego ręce składają losy całego narodu. Misję tę chłopstwo musi wykonać z godnością i dlatego przypadających mu zadań nie może podporządkowywać własnym, egoistycznym interesom, lecz powinno je wypełniać w imię sprawy całego narodu, który ma wprowadzić na szerokie drogi wszechstronnego rozwoju.

Dla uwydatnienia tego posłannictwa chłopstwa potrzebna jest koncepcja, ujęta w ścisły i prostolinijny program działania, która skupiłaby siły dynamiczne wsi i we wszystkich przejawach jej życia wydobyła najwyższe wartości twórcze.

Koncepcja ta powinna być zakrojona na tak wielką skalę, aby nadawała ton współczesnym przejawom naszej sprawy narodowej. Takie nastawienie wynika nie tyle ze stosunku liczebnego ludności wiejskiej, lecz z tego faktu, że chłopstwo stanowi dziś żywioł młody, nieobciążony konsekwencjami przeszłości, a więc żywioł o największej potencji rozwojowej.

AGRARYZM JAKO PROGRAM PRZEBUDOWY USTROJU SPOŁECZNEGO

Agraryzm w formie, w jakiej jest propagowany w szeregach młodzieży ludowej, posiada wiele warunków, aby stać się punktem wyjścia dla rozwoju takiej koncepcji programowej, która uwydatniłaby dziejowe posłannictwo warstwy chłopskiej.

Warunki te są następujące:

Agraryzm usiłuje przeprowadzić syntezę najpotężniejszych dziś kierunków społecznych: liberalizmu i socjalizmu.

Czy wystarczy synteza dla wyprowadzenia koncepcji, uwydatniającej posłannictwo warstw ludowych? Czy raczej nie należałoby szukać nowej idei?

Żyjemy w epoce, która do niedawna cechował rozkwit idei. Od rewolucji francuskiej poprzez cały wiek XIX ludzkość postęp swój zaznaczyła wielkimi hasłami. Wszystkie te ruchy ideowe spełniły doniosła rolę, gdyż ujawniły niedomagania w dotychczasowym układzie stosunków społecznego współżycia i gospodarczego współdziałania poszczególnych warstw ludności. W imię tych dążeń jednoczyły się masy, zaprawiając się do solidarnego i ofiarnego działania.

Każda żywotna idea dochodzi do momentu, kiedy wartość swych wskazań musi poddać próbie realnego czynu.

Żyjemy właśnie w okresie, kiedy po zdobyciu najważniejszych pozycji oporu wielkie ruchy socjalne stanęły wobec zadań realizacji swych wskazań. I w tym etapie zdawałoby się największego triumfu kierunki te napotykały niezmierne trudności. Stan faktyczny w zakresie realizacji idei okazuje się tak żałosny, że w wielu wypadkach czyny zdają się przeczyć głoszonym zapowiedziom. Rodzi to zwątpienie, obawy, że wysiłki i ofiary zostały zmarnowane. W rezultacie masy okazują obojętność dla haseł, którym niedawno służyły.

Kryzys duchowy, jaki niewątpliwie przeżywa nasze pokolenie, nie wynika z braku idei. Próżno by nawet szukać nowych haseł, kiedy jeszcze nie przeszliśmy przez porządek, ustalony według idei, które ostatnio wyznawaliśmy.

Dziś masy obezwładnia nieudolność realizowania idei społecznej gospodarki, opartej na powszechnej sprawiedliwości. Jednak idea ta wciąż jeszcze jest żywotna i zyskuje coraz szersze uznanie: — stała się ona dziś wyznaniem wszystkich — od socjalistów, którzy uważają się za jej twórców, do chrześcijańskich demokratów, którzy niezbyt dawno zażarcie się jej przeciwstawiali. I oto rzesze żyją w wyraźnej sprzeczności: Uznają konieczność zasadniczych przeobrażeń, aprobują wielkie hasła, lecz nic nie są zdolne uczynić dla ich urzeczywistnienia.

Tę nieudolność realizacji w poważnym stopniu tłumaczyć należy zwyrodnieniem, do jakiego doszły poszczególne kierunki ideowe. Śród ugrupowań, występujących w roli szermierzy pewnych kierunków, idee skostniały, stały się coraz bardziej utartym łożyskiem myśli, izolowanym od prądów rzeczywistości. Zamiast być promieniem światła, które odkrywa nowe widnokręgi dążeń ludzkich, idee przerodziły się w podstawy do teoretyzowania najżywotniejszych zagadnień życia ludzkiego; — stały się rodzajem szałasów z koncepcji myślowych, w których usiłowano zamknąć krąg zainteresowań człowieka, a zdusić wszystko, co w którymkolwiek z tych szałasów się nie mieściło.

Śród zrutynizowanych kierunków idee przerodziły się w ortodoksyjne teorie. Zamiast oświetlać szerokie drogi rozwoju ludzkości, stały się wąskimi ścieżkami, do których usiłowano wtłoczyć przebogate przejawy życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Każdy z kierunków społecznych wyprowadzał własną linię, do której usiłował nagiąć dążenia i potrzeby ludzkie, a odrzucał wszystko, co z tą linią się nie pokrywało.

Przy takim ekskluzywnym nastawieniu żaden z kierunków nie mógł uzyskać tak decydującej przewagi, która jemu wyłącznie umożliwiałaby opanowanie rzeczywistości. Podobny sposób „realizacji idei" nie dał się przeprowadzić w społeczeństwach cywilizowanych — poza narodem rosyjskim, wychowanym przez dzieje w niewolnictwie.

Ta względna równowaga dotychczasowych kierunków ideowych stwierdza, że każdy z nich posiada pewne prawdy, którym odpowiadają realne wartości w życiu — i na tych wartościach się wspiera.

Aby opanować dzisiejszy zamęt i rozwój społeczny ruszyć z martwego punktu — trzeba poznać wszystkie realne wartości życia, a następnie przeprowadzić syntezę odpowiadających im prawd, chociażby były one zawarte w różnych ideologiach.

Trzeba idee społeczne sprowadzić do właściwej pozycji i usunąć ich supremację nad człowiekiem.

Istotnym jest życie ludzkie i jego swobodna twórczość. Idea ma wskazywać kierunki tej twórczości i odsłaniać jej drogi. Nie można z idei tworzyć tabu, które w niewolę bierze życie ludzkie i narzuca mu pęta. Każde zacieśnianie kierunków, choćby w imię najwznioślejszych haseł, pociąga to niebezpieczeństwo, że będzie spaczone przez tych, którzy narzucają się jako interpretatorzy idei.

Należy człowieka i jego twórczość uznać za najwyższe prawo życia. Ze stanowiska tego prawa trzeba wybrać wszystkie prawdy, którym odpowiadają realne wartości życia i z prawd tych wyprowadzić syntezę kierunku, w jakim ma postępować rozwój społeczny i gospodarczy.

Taką syntezę usiłuje stworzyć agraryzm.

Słusznie też agraryzm wskazuje na warstwy wiejskie, jako najbardziej powołane do misji zsyntetyzowania współczesnych kierunków ideowych.

Chłopstwo dotychczas właściwie nie angażowało się w żadnym kierunku społecznym, nie wiązało swego rozwoju z taką lub inną „linią ideową" — nie ponosi więc odpowiedzialności za bankructwo żadnego z ruchów i żadnej teorii. Chłopstwo wchodzi więc do życia narodowego jako czynnik bezstronny, który zdolny jest działać samodzielnie i bez sugestii obrać własną drogę.

Agraryzm nie zasklepia się tylko do spraw chłopstwa, lecz usiłuje rozwiązać całokształt zagadnień społecznych i gospodarczych wszystkich warstw narodu, opierających swój byt na przewadze pierwiastka pracy nad interesami posiadania. Przy tym spraw każdej z warstw społecznych nie nagina do interesów rolnictwa, jak to czynił i czyni ruch proletariacki i mieszczański, lecz każde

zagadnienie rozpatruje w płaszczyźnie właściwości i warunków jego środowiska oraz szuka rozwiązania odpowiadającego zadaniom tego środowiska w całokształcie sprawy narodu.

Na tego rodzaju obiektywizm w ruchu agrarystycznym wieś zdobyć się może nie tyle ze względu na jakąś nadzwyczajną bezinteresowność i subtelność, lecz na skutek dobrze zrozumianego interesu własnego.

Wieś to podstawowa warstwa pnia narodu. Ona wyłania materiał ludzki, który zasila inne warstwy. Stąd tworzą się nici rodzinne między społeczeństwem wiejskim a innymi warstwami: szczególnie mieszczaństwem (rzemiosłem), proletariatem fabrycznym i inteligenckim. Ta więź rodzinna powoduje, że żywioł wiejski z całkowitą szczerością musi się odnieść do tych środowisk, w których stale obsadza pewne zastępy swoich synów.

Wieś współczesna pragnie jak najszerzej rozwinąć swe życie gospodarcze, społeczne i kulturalne. Rozumie ona, że pełnię takiego rozwoju osiągnie przy równomiernym postępie wszystkich warstw narodu. Dla podniesienia gospodarczego rolnictwa i rozwoju urządzeń cywilizacyjnych na wsi konieczny jest przemysł, gdyż stwarza źródła dostawy towarów, a jednocześnie toruje drogi zbytu dla produktów wiejskich. Dla stworzenia nowoczesnych form bytu społecznego i pogłębienia życia kulturalnego wsi konieczne są instytucje i urządzenia stanowiące ośrodek pracy inteligencji zawodowej.

Agraryzm dopuszcza syntezę interesów i dążeń poszczególnych warstw społecznych w ramach, składających się na całość wszechstronnego rozwoju życia narodowego. Dopuszcza wszelkie kierunki i czynniki, które rozwój ten wzmagają — odrzuca i niweluje tendencje, które powodują objawy destrukcyjne i rozkładowe.

Agraryzm s t o s u n k i s p o ł e c z n e p r a g n i e o p r z e ć n a z a s a d a c h d e m o k r a c j i. Znaczy to, że dąży do utrwalenia takiego porządku społecznego, który każdej jednostce zapewniałby rozwój pełni indywidualnych zdolności oraz jak najwszechstronniejsze przejawienie jej umiejętności twórczych — a jednocześnie najszerszemu ogółowi umożliwiałby decydujący wpływ na kierunek spraw życia zbiorowego. Ogół musi się poczuwać do odpowiedzialności nie tylko za sprawy własnej zbiorowości, ale i za losy całego narodu.

Dzięki swej postawie demokratycznej agraryzm wzbudza szlachetne ambicje wśród najszerszych rzesz ogółu oraz wydobywa najszczytniejsze wartości twórcze w zakresie wszystkich kierunków rozwoju narodowego.

A g r a r y z m p r a g n i e o p r z e ć g o s p o d a r s t w o s p o ł e c z n e n a z a s a d a c h s p ó ł d z i e l c z y c h. Znaczy to, że zmienia dotychczasowy system wytwarzania i wymiany bogactw, oparty na zysku osobistym i przewadze materialnej jednostek nad ogółem — natomiast do stosunków pracy wprowadza ducha współdziałania i wzajemnej pomocy.

Przyjmując program spółdzielczy, agraryzm tym samym przeciwstawia się wszelkim tendencjom zrutynizowania czynności gospodarczych i nie chce dopuścić do tego, aby czynności te w sposób niewolniczy opanowały człowieka, czyniąc zeń jedynie siłę roboczą, dostosowaną do ustalonego od góry szematu.

W nastawianiu wszelkich procesów gospodarczych agraryzm wychodzi od człowieka — pragnie zorganizować wszystkie czynności gospodarcze w taki sposób, aby wszystkim umożliwić swobodne i jak najszersze przejawianie własnych zdolności twórczych, a jednocześnie jednostkom i społeczności zapewnić jak najpełniejsze zaspokojenie zróżniczkowanych potrzeb materialnych i duchowych.

Wskazane wyżej podstawowe zasady sprawiają, że agraryzm ma wiele danych, aby swą koncepcją programową objąć wielostronne zagadnienia naszego życia narodowego. Taka szeroka podstawa umożliwia agraryzmowi uchwycenie punktu wyjścia dla nadania masom czynnej podstawy wobec najdonioślejszych problemów dzisiejszej epoki. Jednocześnie stwarza też ona podłoże dla wyłonienia nowej treści życia kulturalnego licznych rzesz ogółu pracującego, które dotychczas ze zdobyczami kultury miały kontakt pośredni i korzystały z nich w ramach ograniczonych. (D. n.)

Es.

Pamięci historyka patrioty

Dnia 3 maja roku bieżącego umarł znakomity historyk polski ś. p. prof. Wacław Tokarz. Całe życie poświęcił badaniom historii walki o niepodległość Polski i zakończył życie w rocznicę, którą tradycja uczyniła jednym z symbolów tej walki. Wszechstronna i wyczerpująca ocena olbrzymich zasług naukowych Zmarłego powinna być dokonana na innym miejscu. Tu natomiast należy uwydatnić niektóre cechy charakterystyczne ś. p. Tokarza. Był to przede wszystkim historyk - patriota, który swoją działalność naukową pojmował i odczuwał jako służbę Ojczyźnie. Nic jednak nie było bardziej obce Tokarzowi, aniżeli chęć przekręcania prawdy w imię patriotyzmu. Zarówno potężny zdrowy rozsądek Zmarłego jak wrodzona prawość charakteru ustrzegły Tokarza od podobnych wykolejeń. Rozumiał bardzo dobrze, iż historyk służy swemu krajowi przez dostarczanie mu zgodnych z prawdą informacji o przeszłości, a nie przez wprowadzanie w błąd. Dlatego był Tokarz doskonałym przedstawicielem zasady historia magistra vitae; nie tylko rozumiał, ale i w praktyce czuwał nad tym, aby ta nauczycielka życia nie stała się opowiadaczką bajek, gwoli rzekomemu „pokrzepieniu serc". Stąd olbrzymi obiektywizm tego historyka - patrioty. Jednym z najbardziej dowodzących przykładów tego obiektywizmu jest charakterystyka W. Ks. Konstantego w „Armii Królestwa Polskiego", w której Tokarz, będący zwolennikiem orientacji antyrosyjskiej, z największą skrupulatnością przedstawia obok tak licznych ujemnych, również i dodatnie strony charakteru i działalności Konstantego.

Dzięki tym zaletom stał się Tokarz jednym z wychowawców pokolenia wielkiego przełomu dziejowego naszych czasów. Przez to wielki historyk pozostawia po sobie wspomnienie szczególniej żywe i głębokie.

Es.

Na marginesie

Wobec zapowiedzianego czwartego nakładu „Na tropach Smętka", zgodny nakaz milczenia, obowiązujący dotychczas jak widać prasę niemiecką, został zniesiony.

Po pismach niemieckich w Polsce, zabrały głos gdańskie, a obecnie wystąpił z wielkim artykułem „Berliner Tageblatt". Artykuł ów jest preparowany tak samo jak i dotychczasowe artykuły niemieckie: żale na psucie dobrych stosunków polsko-niemieckich, wytykanie drobnych, skrupulatnie wyszukiwanych usterek historycznych, żalenie się na „wyrafinowanie książki, która zaspokaja i turystyczne i sensacyjne i religijne i sentymentalne (?) zainteresowania i każdemu coś daje, co go interesuje" — i kompletne pomijanie faktów, podanych i odkrytych przez Wańkowicza.

Polscy czytelnicy uważają w prostocie ducha, że najlepiejby zbliżeniu polsko-niemieckiemu pomogło, gdyby odnalazła się uwięziona i przepadła bez wieści kolporterka „Mazura" Burbullówna, gdyby został wypuszczony z obozu koncentracyjnego Linka, gdyby okazało się, że ojca jego nie zatłuczono kijami, gdyby Kiwicki mógł wrócić do ojcowizny, z której go wyzuto, gdyby okazało się, że Wańkowicz informował fałszywie co do losów rodziny Zientary uwięzionej za walkę z nadużyciami wyborczemi, gdyby mały Pałasz nie był terrorem wyrywany z polskiej szkoły i t. p.

Póki tego nie ma, a tego rodzaju stwierdzeń należałoby przede wszystkim oczekiwać od prasy niemieckiej wobec tej dokumentarnej książki — musimy powiedzieć że prasa, pokrywając ogólnikami fakty, nie oddaje dobrej przysługi zbliżeniu polsko-niemieckiemu.

Bo zbliżenie to gruntować się winno właśnie na faktach a nie na amowach.

Józef Korpała

Naród a państwo

Na marginesie książki Olgierda Górki

II.

Krytykując dotychczasowe definicje państwa, prof. Górka starał się o uchwycenie w swej definicji państwa (jako „nadprzedsiębiorstwa") *„najbardziej normujących cech dla wszystkich bez wyjątku możliwych, a występujących w dziejach form państwowych"*. Za pojęcie najbliższe istocie państwa uznał „przedsiębiorstwo", gdyż w prawniczej definicji przedsiębiorstwa znalazł *„wyrażenia i sposoby ujęcia istoty przedsiębiorstwa, jako takiego, tego rodzaju, że dają się one automatycznie zastosować do państwa, jako takiego"*. Przeciwstawiając się terminowi „organizacja", Górka nie lekceważy bynajmniej elementu organizacyjnego, ale sądzi, że występuje on w państwie dlatego jako czynnik najistotniejszy, ponieważ jest nieodzownym elementem tego, co nazywamy przedsiębiorstwem. Centralnym punktem rozważań o zbieżności cech dotyczących istoty państwa (jako nadprzedsiębiorstwa) i przedsiębiorstwa jest w przekonaniu prof. Górki fakt, że *„państwo jest takim tworem organizacji ludzkiej, w której zawsze występuje właściciel, względnie posiadacz..."* Tą drogą dochodzi autor do momentu najważniejszego t. j. związku zagadnienia własności z zagadnieniem władzy.

Fundamentem dalszych rozważań Górki jest zagadnienie własności państwa. Autor przyjmuje jako pewnik, że *„własność i pochodzenie, źródło władzy bezpośredniej lub zleconej, są elementami nierozdzielnymi"*. W takim rozumieniu rzeczy istotą państwa jest własność względnie władza. Szczególne znaczenie w swym rozumowaniu przypisuje prof. Górka analogii, że zarówno przedsiębiorstwo jak i państwo ma zawsze centrum władzy. Źródło tej władzy widzi w prawie własności lub w posiadaniu.

Cała teoria nieodwracalności interesów państwa i narodu, stanowiąca rozwiązanie właściwego problemu pracy prof. Górki, którym jest stosunek narodu do państwa, opiera się na tej przesłance, że w państwie zawsze występuje właściciel. Ów właściciel z tytułu posiadania (uprawnionego czy nieuprawnionego) ma pełnię władzy.

Solidaryzując się z autorem w jego krytyce dotychczasowych koncepcji państwa, sądzimy jednak, że definicja państwa, oparta na analogii z przedsiębiorstwem, aczkolwiek jest elastyczniejsza od dotychczasowych definicji, nie posiada przypisywanych jej zalet i nie spełnia pokładanych nadziei. Słabą stroną tej definicji, sprowadzającej państwo do roli środka czy narzędzia w ręku „właściciela", jest akcentowane wielokrotnie pojęcie własności na państwie.

W przedsiębiorstwie istotnie spotykamy się z pojęciem własności i posiadania jednostkowego lub zbiorowego. Zawsze jednak ów właściciel jest *wyraźnie określony*. Nawet wówczas, jeśli nieprawnie posiadł (zdobył) to przedsiębiorstwo. Inaczej jest w państwie, pojętym jako nadprzedsiębiorstwo. Źródłem władzy i dyspozycji jest w nim nie posiadanie (materialne) albo własność, ale czynnik natury moralnej t. j. *wola*. Świadczą o tym choćby dzieje powstawania Państwa Polskiego.

Polska dzisiejsza jest dziełem Józefa Piłsudskiego i tych, którzy pod jego wodzą wydobyli z narodu polskiego wielki wysiłek dziejowy, jako przejaw *woli* posiadania własnego państwa i urządzania życia narodu według norm zgodnych z jego charakterem i doświadczeniem dziejowym. Powstało więc Państwo Polskie nie tyle *„celem spełnienia wobec przynależnych jednostek potrzeb ich egzystencji"* (bo te potrzeby spełniało również obce państwo), co dla wzmożenia twórczości tych jednostek i zapewnienia narodowi warunków realizacji jego ideałów i aspiracji dziejowych. Wogóle w definicji państwa pojętego jako nadprzedsiębiorstwo brak uwzględnienia elementów irracjonalnych, gdyż nie ma ich w pojęciu przedsiębiorstwa.

Pojęcie „Państwo Polskie" to coś więcej niż nadprzedsiębiorstwo aktualnie działające, w którym wszyscy uczestniczymy i które ułatwia nam byt — to również idea, zawierająca w sobie wysnutą z doświadczeń dziejowych i aspiracji narodu wizję przyszłego Państwa Polskiego. Prof. Górka nie lekceważy tego czynnika, jednakże w swej definicji państwa pomija go świadomie, gdyż twierdzi, że państwo jako takie nie zawiera w sobie idei, że ideę wyznacza mu naród. Na takie rozumowanie można by się zgodzić tylko z tym zastrzeżeniem, że pod pojęciem naród rozumieć będziemy nie tylko współcześnie żyjących Polaków, ale także dawne pokolenia, gdyż ich idee wywierają wpływ na kształtowanie się ideału współczesnego narodu polskiego.

Wypowiadając swe uwagi i zastrzeżenia dalecy oczywiście jesteśmy od jakichkolwiek sporów kazuistycznych czy dialektycznych. Cenimy wysiłek autora i doceniamy w pełni trudności oderwania się od dotychczasowej frazeologii, obowiązującej w nauce o państwie. To też nie w literaturze publicystycznej czy w nauce szukamy potwierdzenia dla naszych poglądów, ale w analizie naszej rzeczywistości. Sądzimy bowiem, że nie można rozpatrywać stosunku narodu i państwa na gruncie definicji, choćby posiadającej wszystkie cechy (pozory) słuszności, ale trzeba to robić zawsze z myślą o Polsce, jej rzeczywistości i układzie sił.

W naszym rozumieniu rzeczy istotnym czynnikiem w państwie jest ten, kto poczuwa się do odpowiedzialności za państwo, niezależnie od uprawnień formalnych. Ustrój i konstytucja określają, kto i w jakim stopniu jest odpowiedzialny za państwo. Ale nie o to nam chodzi. Państwo to nie jest automat, regulowany mechanizmem skonstruowanym według przepisów konstytucji, to nie „nadprzedsiębiorstwo", w którym wszystko dzieje się według norm i przepisów. Państwo to żywy organizm, w którym dynamicznym czynnikiem, posiadającym nierównie większe możliwości niż akcjonariusz, jest obywatel. W każdym zaś państwie musi być czynnik mający *pełne poczucie odpowiedzialności za państwo*. Tym czynnikiem może być jednostka, grupa lub naród.

W naszych warunkach zależeć nam musi na tym, aby tym czynnikiem, mającym pełne poczucie odpowiedzialności za Państwo Polskie, był cały naród polski. Więcej, żeby w tym poczuciu odpowiedzialności łączyli się z nami ci wszyscy obywatele Państwa Polskiego, którzy solidaryzują się z pracą dziejową narodu polskiego. Z takiego rozumowania wynika, że naród polski musi czuć *się gospodarzem* odpowiedzialnym za los i byt Państwa Polskiego. Sądzimy, że termin „gospodarz" jest odpowiedniejszy niż termin „właściciel" dla określenia faktycznej roli i pozycji narodu polskiego w Państwie Polskim. Wychodząc z założenia, że w każdym państwie występuje właściciel — prof. Górka uważa naród za właściciela państwa. W szczególności zaś, w odniesieniu do naszej sytuacji wysuwa tezę, że *„naród polski jest rzeczywistym właścicielem całego Państwa Polskiego"*. Wprowadzając określenie „rzeczywisty właściciel", uznaje autor również formalnego właściciela, którym są w rozumieniu konstytucji wszyscy obywatele Państwa Polskiego. Nie poprzestając na tym, autor po prostu stwierdza, że *„naród polski jest nietylko prawnie, ale uczuciowo rzeczywistym i odpowiedzialnym właścicielem Państwa Polskiego"*.

Określiwszy istotę państwa i naród jako właściciela państwa, rozwija autor swoje poglądy na rozumienie interesu narodu i interesu państwa. Stojąc na gruncie analogii państwo = przedsiębiorstwo, twierdzi autor, że interes narodu jest interesem właściciela, natomiast interes państwa jest interesem przedsiębiorstwa. Rozróżniając te dwa interesy i dwie sfery interesów, opowiada się prof. Górka za przeciwstawnością interesów narodu i państwa w odróżnieniu od Bukowieckiego i Rybarskiego, z których pierwszy stoi na gruncie interesu państwowego, jako identycznego z interesem narodu, a drugi na gruncie interesu narodu jako identycznego z interesem państwa.

Prof. Górka stawia śmiałą tezę, że *„na ogół interesy narodu polskiego i państwa polskiego są przeciwstawne"*. Wydaje nam się, że ta teza fundamentalna dla dalszej jego teorii o nieodwracalności interesów państwa i narodu, jest z gruntu fałszywa. Autor dał się tutaj uwieść pozorom i zboczył z drogi ścisłego rozumowania. Przyjmując pogląd, że *„każdy interes narodowy ma prosty i jednolity wyraz"*, zaaprobował autor stanowisko nacjonalistyczne, nie tyle z przekonania, co po prostu z rezygnacji.

Wprawdzie w rzeczywistości „interes narodu" pojmowany jest bardzo prymityw-

nie, ale przecie ciasno pojętego egoizmu narodowego nie można uznać za równoznaczny z interesem narodu. Nie ulega wątpliwości, że istotnym (a nie pozornym) interesem narodu musi być potęga i rozwój państwa warunkującego wolność i rozkwit sił twórczych narodu. Przeto między dobrze pojętym interesem narodu, jako gospodarza państwa, a interesem Państwa, stanowiącego przejaw woli, poczucia mocy i samowiedzy narodu, nie może być sprzeczności. Wszelkie poczynania narodu, osłabiające państwo, byłyby sprzeczne z istotnym interesem narodu.

Stawiając tezę za przeciwstawnością interesów narodu i państwa, prof. Górka zbyt przejął się analogią pojęć państwo i przedsiębiorstwo. W przedsiębiorstwie istotnie zachodzić może niebezpieczeństwo krótkowzroczności i fałszywej polityki, dyktowanej okolicznościami. Upadek przedsiębiorstwa nie pociąga tak groźnych następstw, jak upadek państwa. Stopień przywiązania właściciela do przedsiębiorstwa może być mniejszy, od jego przywiązania do rodziny dewastującej przedsiębiorstwo. W naszym przekonaniu nie tylko nie powinniśmy, ale nawet nie możemy uważać państwo za przedsiębiorstwo, choćby dlatego, że Polska pojmowana jako przedsiębiorstwo już raz zbankrutowała.

Główny jednak błąd w rozumowaniu autora upatrujemy w tym, że zestawia ze sobą pojęcia nierównowartościowe. Dobrze pojęty interes państwa przeciwstawia pospolicie pojmowanemu interesowi narodu. Obiektywizm każe nam jednak zaznaczyć, że autor wymienia również wypadki zgodności tych interesów. W szczególności podkreśla zgodność interesu narodu i państwa w sprawach kultury narodowej i w sprawach wychowania fizycznego; natomiast różnice interesów widzi przy zagadnieniu majątku narodowego, dochodu społecznego, bilansu płatniczego, wreszcie przy zagadnieniach oświatowych.

(D. n.)

Jeszcze o sprawie St. Brzozowskiego

(B. S.) Drukowane w ostatnich numerach naszego pisma artykuły p. Witolda Kosińskiego w sprawie Brzozowskiego wywołały, jak tego mieliśmy dowody, żywe zainteresowanie. Zainteresowanie to jest jednym z wielu przejawów niesłabnącego znaczenia tego, co w języku potocznym nazywa się „sprawą" znakomitego pisarza, a co jest jedną z wielkich zagadek, a równocześnie i wielkich tragedii ostatniego okresu naszej niewoli.

Stosownie do zapowiedzi w N-rze 15 „Narodu i Państwa" pragniemy do rozważań p. Kosińskiego dodać kilka słów, dotyczących głównego wniosku, sformułowanego przez p. K. w słowach:

„Najwyższy czas, by głos zabrała Polska Akademia Literatury i ta instancja, która oskarżenie w roku 1908 poparła: Polska Partia Socjalistyczna. Najwyższy czas — póki żyją nieliczni już zresztą świadkowie z procesu krakowskiego."

Wniosek ten jest sprzeczny ze stanowiskiem zajętym w tej samej sprawie przez innego autora, który w roku ostatnim sprawie Brzozowskiego poświęcił obszerne studium, to jest p. Jana Krzesławskiego, autora siedemdziesięciostronicowej broszury p. t. „Prawda o Stanisławie Brzozowskim". Pan Krzesławski stanowisko swoje w stosunku do tego samego zagadnienia formułuje w następujący sposób:

„Mówi się dziś dużo o wznowieniu procesu Brzozowskiego, teraz zwłaszcza, gdy upłynęła dwudziesta piąta rocznica jego zgonu. Ze stanu sprawy w chwili obecnej wynika jednak, że na rewizję jeszcze zawcześnie. Brak w tej chwili danych, które by pozwoliły kategorycznie twierdzić, że Brzozowski jest winien, albo niewinien. Werdykt, który by utrzymywał część społeczeństwa w niepewności albo wywoływał w dalszym ciągu gorące protesty, nie miałby racji bytu".

W tych dwóch sformułowaniach są dwa przeciwne stanowiska. Możnaby, opierając się na określeniu Norwida: „Prawda się razem dochodzi i czeka", powiedzieć, że p. Kosiński reprezentuje stanowisko *dochodzenia* prawdy, p. Krzesławski stanowisko *oczekiwania* na prawdę. Które z tych dwóch stanowisk jest słuszne w danej sprawie i w danym stadium?

Rozumując w sposób czysto oderwany, już musielibyśmy słuszność przyznać stanowisku p. Kosińskiego. Z dwóch norwidowskich warunków osiągnięcia prawdy pierwszy jest funkcją ludzkiej świadomości i woli, drugi jest naturalną i niezależną funkcją czasu. Stąd też człowiek z drugiego nigdy nie rezygnuje, może tylko—jak w danej sprawie radzi p. Krzesławski — rezygnować z pierwszego.

Rezygnacja ta nie jest uzasadniona apriorystycznie. Tym bardziej jednak nie jest ona uzasadniona realnymi warunkami danej sprawy.

Nie będziemy tutaj nadmiernie rozwijać niewątpliwie bardzo istotnego argumentu p. Kosińskiego, że nie wiemy, czy czas zechce nam przynosić nowe i istotne elementy sprawy, natomiast wiemy z całą pewnością, że będzie on powodował zatracanie się elementów dotychczasowych, po prostu przez tak nieuchronne zjawisko, jakim jest śmiertelność ludzi, będących już dziś przeważnie w wieku dość poważnym, a którzy zarówno w samej sprawie, jak też i w jej ubocznych akcesoriach, mieli niejedno do powiedzenia.

Zagadnienie to jest bardziej zasadnicze, niżeli wydaje się na pierwszy rzut oka. Dotyczy ono nie tylko okoliczności sprawy, lecz i jej najgłębszej istoty. Mianowicie dzisiaj jeszcze sprawa Brzozowskiego może być rozpatrywana na podstawie porównywania cieniów i świateł, zarzutów oskarżenia i argumentów obrony. Po jakimś czasie, gdy żyjący jeszcze świadkowie wymrą, tego rodzaju wnioskowanie będzie ponad wszelką miarę utrudnione. I wówczas pozostanie istotnie tylko ta droga, którą radzi p. Krzesławski, to jest oczekiwanie z wiarą, że „nie należy jednak wątpić, że przy dalszych poszukiwaniach znajdą się dane, które pozwolą albo Brzozowskiego bezapelacyjnie zrehabilitować, albo też ze smutkiem stwierdzić, że rewelacje, zawarte w czarnej liście, okazały się prawdą".

Lecz w tego rodzaju postawie jest — niech p. Krzesławski daruje, gdyż dalecy jesteśmy od stawiania mu zarzutów świadomej tendencyjności — pewnego rodzaju walenrodyzm. Przecież jasne jest, że przy żadnych poszukiwaniach i przy najbardziej szczęśliwym układzie warunków nie można liczyć na znalezienie w archiwach rosyjskich *dowodów niewinności*. Jeśli bowiem przyjmiemy tezę niewinności, musimy przyjąć i inną tezę, że archiwa nie zawierają w danej sprawie *nic*. O ile bowiem zrozumiałe jest poszukiwanie akt tych, którzy w Ochranie służyli, to nie może być być mowy o poszukiwaniu akt, że ktoś w niej *nie* służył. To też w tym sformułowaniu p. Krzesławskiego, obiektywnym całkowicie w formie, jest wielka nieobiektywność treści.

Przykładów tego rodzaju nieobiektywności treści, przy mylącej obiektywności formy, możnaby w broszurze p. Krzesławskiego znaleźć znacznie więcej. Nie to jest jednak zadaniem niniejszych uwag. Chodzi wciąż o sprawę zasadniczą, to jest o pytanie, czy do wyjaśnienia sprawy Brzozowskiego droga prowadzi przez jej podjęcie i badanie, czy też przez oczekiwanie na ewentualne wypadkowe znalezienie rozwiązania.

*

I tutaj znowu musimy przejść do innego momentu podniesionego w związku ze

„sprawą Brzozowskiego" przez p. J. Krzesławskiego w zeszycie 1 tomu XV wydawnictwa „Niepodległość" oraz w zeszycie 7 — 8 „Kroniki ruchu rewolucyjnego w Polsce" z roku 1936.

Otóż już po wydaniu w połowie ubiegłego roku broszury swej p. Krzesławski, wbrew niejako pesymistycznej ocenie możliwości szybkiego odnalezienia materiałów archiwalnych do sprawy Brzozowskiego, podjął na własną rękę pewne poszukiwania.

Okazało się, że rezultaty były nadspodziewanie szybkie. Przede wszystkim *bez żadnych trudności* odnalazły się w aktach Generał - gubernatorstwa w warszawskim Archiwum Akt Dawnych wspomniane w czasie sprawy raporty Ochrany, które miały być oparte na raportach pisanych przez Brzozowskiego. Pięć z tych raportów dotyczy „wieców Andrzeja Niemojewskiego", szósty, bez wątpienia najważniejszy dla sprawy, „projektu założenia Warszawskiego Uniwersytetu Robotniczego" w roku 1904. O tym właśnie raporcie z wielkim naciskiem mówił w czasie rozprawy Bakaj, jako o jednym z najważniejszych niejako opracowań Brzozowskiego dla Ochrany, przy czym popełniał nieścisłość, mówiąc, że raport złożony przez Brzozowskiego miał na celu zapobieżenie legalizacji „Uniwersytetu", którego nikt — jak to wykazał przebieg rozprawy — nigdy nie miał zamiaru legalizować.

W każdym razie sprawa tego „raportu" należała do zasadniczych momentów procesu. Dziś raport ten został odnaleziony i — jak się okazało — odnaleziony *bez trudności.* Jest on przedrukowany w wyjątkach w „Niepodległości", jest dostępny wszelkim badaniom, które — nie są to rzeczy tak trudne — mogą między innymi stawiać sobie za cel diagnozę zarówno treściową, jak nawet czysto literacką, prowadzącą do wyjaśnienia sprawy autorstwa Brzozowskiego. Wynik tej diagnozy ,o ile byłby osiągnięty z całą pełnością i przeświadczeniem, mógłby mieć dla samej sprawy znaczenie niemal rozstrzygające. Stąd też nie można odmówić słuszności rozumowaniu p. Krzesławskiego, gdy w odnalezieniu tego raportu widzi, że sprawa „posunęła się poważnie naprzód i istnieje coraz więcej szans, że będzie wyświetlona".

W przekonaniu p. Krzesławskiego wyświetlenie to idzie po linii wykazania winy Brzozowskiego. Wnioskowi temu nie dziwimy się. Jednakże ze swej strony pragniemy tezie p. Krzesławskiego przeciwstawić pewne fakty i skojarzenia, wiążące się z całością poprzedniego przebiegu sprawy.

*

Przede wszystkim więc jedno przypomnienie.

W artykule p. Kosińskiego spotkaliśmy, między innymi, następujące zdanie:

„Najwięcej podejrzeń budzi niejaki Jan Rabinowicz. Żyd. Z postawy, wzrostu, twarzy podobny do Brzozowskiego, mieszkał jak i tamten na Natolińskiej, z tą różnicą, że pod nr. 4 ((B-wski pod 10). W sferach rewolucyjnych znany pod nazwiskiem Goldberga. W tym samym czasie co Brzozowski wyjeżdża do Zakopanego. Po ujawnieniu „czarnej listy" kręci się w świecie artystycznym Krakowa. Aresztowany, bodajże w roku 1910, przez władze austriackie jako podejrzany o szpiegostwo wojenne, znika następnie bez śladu."

Przytoczyliśmy tutaj powyższe określenia, oparte, jak wynika z przypisków p. Kosińskiego, na protokułach rozpraw drukowanych w roku 1935 w „Drodze" oraz na rozmowie z p. Walentyną Szalitową w dniu 14. VI. 1936, przy czym artykuł p. Kosińskiego, wraz z tym zdaniem, pisany był — co warto podkreślić — przed ogłoszeniem „raportu o Uniwersytecie Robotniczym" w „Niepodległości".

O szczegółach tej sprawy należy podać jeszcze kilka słów.

Zagadnienie Rabinowicza wypływa w ostatnim stadium rozprawy. Jest ono omawiane przez świadków na posiedzeniu poufnym w dniu 21 marca r. 1909. Wywiera ono poważne wrażenie i stopniowo nabiera znaczenia, czego wyrazem jest, między innymi, jeden z ostatnich dokumentów sprawy, to jest list dr. H. Diamanda, przewodniczącego Sądu, do dra E. Bobrowskiego, datowany z dnia 5 kwietnia r. 1909, podkreślający konieczność zebrania wiadomości dotyczących osoby Rabinowicza, gdyż:

„o ile mnie doszły wieści, szerzy się podejrzenie, że mógł on być owym kwestionowanym. Szczególnie Orkan budził wielkie nadzieje co do tego faceta.."

„Sprawa sama przez się ciekawa, a szczególnie trzeba się nią zająć, bo jakkolwiek ona jest niezbadana, zajmie wszystkich interesujących się i wyrośnie do potwornych rozmiarów..."

„Zarządźcie sami, co potrzeba, lub też zwołajcie posiedzenie obecnych w Krakowie sędziów. Główna rzecz: pośpiech.."

(„Droga", rok 1935, str. 890).

List ten jest ostatnim w opublikowanych aktach sprawy dokumentem, odnoszącym się do osoby Rabinowicza. Jak należy wnosić, mimo zaleceń Diamanda, wobec odroczenia faktycznego całości sprawy, dochodzenia w sprawie Rabinowicza nie zostały doprowadzone do końca. Inaczej mówiąc, nie została ostatecznie zbadana hipoteza, że Rabinowicz, który ponad wszelką wątpliwość był szpiegiem rosyjskim, występował w Ochranie pod podwójnym nazwiskiem Brzozowskiego i Goldberga i że przez zewnętrzne podobieństwo, podobieństwo adresu, podobieństwo pewnych faktów, jak wyjazd do Zakopanego, spowodował omyłkę Bakaja, której konsekwencją było umieszczenie na czarnej liście nazwiska Brzozowskiego oraz cały późniejszy przebieg sprawy.

Punkt ten był w ten sposób zawsze punktem o dużej wadze dla całości sprawy. W świetle ogłoszonego przez p. Krzesławskiego raportu nabiera on jeszcze szczególniejszego znaczenia. Dlaczego?

Otóż w szczupłym materiale zeznań, dotyczących osoby Rabinowicza, uderza jeden fakt. Występuje on z całą jaskrawością w zeznaniu świadka Szwebera, mianowicie, *że jednym z nielicznych momentów nielegalnej działalności organizacyjnej Rabinowicza był współudział w tworzeniu „Uniwersytetu Robotniczego"*, do którego to pracy był wciągnięty przez Lewandowskiego. Oto jak wygląda ta sprawa w zeznaniu świadka Szwebera:

„Rabinowicz zaczął opowiadać o rozmaitych osobliwych momentach ze swojej „działalności" partyjnej, jak raz wsypało się zebranie, na które się spóźnił, drugi raz wsypało się zebranie, z którego był właśnie wyszedł na chwilę i t. d. Mogłyby więc powstać podejrzenia. Rabinowicz wogóle opowiadał dużo o swojej „działalności". *Mówił o uniwersytecie ludowym (między innymi o Lewandowskim),* o swoich odczytach i t. d."

A więc „mówiący dużo o swojej działalności" Rabinowicz na czoło swych wspomnień wysuwa niejako tę sprawę, która równocześnie jest jeśli nie centralnym, to jednym z centralnych punktów oskarżenia przeciwko Brzozowskiemu. Innym z punktów jest, iż na skutek doniesienia Brzozowskiego „aresztowano raz całe zebranie, urządzone przez Niemojewskiego, złożone ze 185 osób przy ul. Wilczej." I tutaj znowu dziwnie się zgadza, że Rabinowicz — dając wyraz swemu niepokojowi, aby nie był posądzony o prowokatorstwo wobec tego, że na czarnej liście umieszczone zostało nazwisko Brzozowskiego — mówi o tym, że miał tego rodzaju wypadki, które mogłyby nasuwać na niego podejrzenia przyczynienia się do dekonspiracji zebrania.

Lecz i tu jeszcze nie koniec dziwnych zbieżności. Według zeznań Bakaja pytał on Petersona: „ile Brzozowski dostaje pieniędzy za swoje usługi, otrzymał odpowiedź, że 150 rubli miesięcznie, ale i to za dużo, iż wskutek wojny budżet ochrany uszczuplił się do 1/3." (Cyt. według protokułów drukowanych w „Drodze", str. 166). Pieniądze te miały być wysyłane również do Zakopanego. Otóż według tegoż Szwebera Rabinowicz w Zakopanem:

„Dostawał co miesiąc, około 18, całe 100 rubli odrazu. Tłumaczył to w ten sposób, że wraz z Biberem założył w Warszawie biuro wycinków gazet. Tymczasem jego wycinki, które istotnie robi, są właściwie z polskich gazet i dotyczą życia rewolucjonistów. Nigdy nie chciał pozwolić, by ktoś zamiast niego listy z wycinkami wyekspediował. Pieniądze odbierał poste-restante za okazaniem legitymacji."

Sto rubli jest to sto pięćdziesiąt uszczuplone wprawdzie nie do 1/3, lecz o 1/3. Zeznanie św. Szwebera zostało w następstwie w całej rozciągłości i z całą dokładnością potwierdzone przez św. Sarę.

Przytaczamy ten fakt, jako niewątpliwie charakterystyczny. Jednak — w obliczu odnalezienia „raportu" — nie chcielibyśmy, aby w czymkolwiek przesłonił on rzecz w danej chwili najważniejszą, to jest, że w niezbyt licznym gronie ludzi wtajemniczonych w sprawę Uniwersytetu Robotniczego był właśnie i ponad wszelką wątpliwość ów Rabinowicz, którego sprawa nie została wyświetlona do końca, mimo że w pewnym momencie było niebezpieczeństwo, że wyrośnie ona „do potwornych rozmiarów".

I tutaj — w związku z powyższym—nasuwa się jeszcze jedna uwaga.

Przy rozpoczynaniu logicznej analizy „raportu", złożonego przez jednego z uczestników pewnego konspiracyjnego grona do władz policyjnych o charakterze akcji i o jej organizatorach, z dużym prawdopodobieństwem, choć nie z absolutną pewnością, możnaby postawić twierdzenie, że w liczbie osób wyszczególnionych przez dany raport będzie pominięta jedna, przy czym będzie to właśnie autor raportu. Otóż w liczbie dwudziestu kilku osób, wymienionych przez „raport", jest „Stanisław Brzozowski" z dodatkową adnotacją „współpracuje w Głosie", nie ma natomiast nazwiska Rabinowicza, choć wymieniane są nawet pseudonimy robotników, uczestniczących w akcji.

Moment ten nie jest, oczywiście, rozstrzygający. W zestawieniu z poprzednimi punktami nabiera on jednak znowu pewnego znaczenia.

Wnioski odnośnie tego punktu nasuwają się same. Mając — jako materiał do analizy — kilka raportów, nie jest trudno o postawienie diagnozy, czy mogły one być wytworem jednej z największych polskich inteligencji, czy też raczej zdradzają one autora, który był rzemieślnikiem pisarstwa.

To też wydaje nam się, że sprawa dziś już dojrzała w pełni do jej podjęcia i ostatecznego rozstrzygnięcia. Analizując całość materiałów, sądzimy, że rodzina i przyjaciele Brzozowskiego mogą z dużym spokojem oczekiwać na wynik tego rozstrzygnięcia.

Pozostaje zagadnienie, kto ma podjąć sprawę i w jaki sposób dalej ją prowadzić. Zgadzamy się z wnioskami p. Kosińskiego, że obowiązek podjęcia i przeprowadzenia sprawy jest *podstawowym, elementarnym obowiązkiem Polskiej Akademii Literatury.* Wierzymy, że gdyby żył Stefan Żeromski, człowiek z sumieniem o własnościach sejsmografu, sprawa ta byłaby już dawno podjęta. Mamy jednak pewne zastrzeżenie, jeżeli chodzi o przyszły przebieg sprawy.

Wydaje nam się, że sprawa ta — zarówno ze względu na swą wagę, jak i skomplikowanie — musi być prowadzona w sposób, dający maksimum gwarancji chłodnego i obiektywnego do niej podejścia. Stąd też prawo decydowania powinno być niejako przekazane z rąk ludzi, reprezentujących emocjonalny charakter działalności literackiej, do rąk tych, którzy reprezentują zarówno metody, jak i beznamiętność zawodowego wymiaru sprawiedliwości.

Reasumując: z inicjatywy najbliższych, której wyrazem był ogłoszony niedawno list Żony i Córki Pisarza, *staraniem Polskiej Akademii Literatury*, winien być zorganizowany w najbliższym czasie Sąd, w którego skład powinni wejść przede wszystkim przedstawiciele wysokich instancji naszego sądownictwa. Zadaniem tego Sądu będzie osiągnięcie lub przybliżenie się do prawdy w tej mierze, w jakiej pozwolą na to realne warunki dnia dzisiejszego. Trud ten może być wielki, lub mały, może być w pełni owocny, lub nawet może okazać się istotnie — czego nie przypuszczamy — bezowocny. Podjęcie jednak tego trudu wydaje nam się naturalnym i poważnym w stosunku do kultury polskiej obowiązkiem. Dla faktu zaniedbania tego trudu, nie łatwo będzie znaleźć okoliczności łagodzące.

Roman Piotrowicz

Libijski eksperyment Italii

I. Możliwości i założenia kolonizacyjne

Niedawna podróż Mussoliniego do Libii, bezpośrednio spowodowana inauguracją drogi, przebiegającej przez całą długość tej kolonii i łączącej Tunis z Egiptem, połączona z nie byle jakim efektem towarzyszącej Duce stupięćdziesięciogłowej międzynarodowej ekipy dziennikarzy, wywołała głośne echa w całej Europie. Napięcie uwagi było tym większe, że podróż ta podkreśliła i zapowiedziała znaczne zmiany, tak w zastosowaniu przez Italię nowych metod kolonizacyjnych, jak i w jej ustosunkowaniu się do świata muzułmańskiego i arabskiego, gęsto obsadzającego południowe i wschodnie wybrzeża tego morza. Zastosowanie przez Italię innych, niż francuskie i brytyjskie, metod kolonizacyjnych znajduje swe uzasadnienie w innym układzie demograficznym półwyspu, oraz w autorytatywnym ustroju państwa. Geopolityczna natomiast sytuacja Libii, zamykającej łącznie z Sycylią morze Śródziemne w jednym z najwęższych jego przejść, oraz odzielającej przy tym brytyjski świat muzułmański od francuskiego i je oba flankującej, ogromnie powiększa jej znaczenie w przyszłych rozgrywkach międzynarodowych. Stąd też libijski eksperyment Italii nabiera specjalnego, tak ściśle kolonialnego, jak i ogólnie międzynarodowo-politycznego interesu, i w dostatecznym stopniu tłomaczy głośne echo, które wywołała ta podróż w świecie.

Oceniając italskie osiągnięcia kolonizacyjne w Libii, jak również ich dalsze perspektywy, nie można pominąć warunków naturalnych tej kolonii, a tym samym i dokładnie uświadomić masę rozlicznych trudności, które w niej napotykają europejskie cywilizacyjne i gospodarcze poczynania. Jest to jak gdyby sprawdzian, czy i w jakim stopniu można pozyskać dla europejskiej uprawy tereny o warunkach wybitnie trudnych. Warunki libijskie stanowią dobre podłoże do tego rodzaju eksperymentu. Nie należąc do sprzyjających, nie wyłączają jednak możliwości gospodarczego wyzyskania określonych przestrzeni tej rozległej kolonii. Świadczą o tym greckie i rzymskie wykopaliska, gęsto rozsiane w obu prowincjach tej kolonii, mówiące o bardzo ongiś intensywnym życiu i wspaniałej cywilizacyjnej i gospodarczej działalności ojców dzisiejszej cywilizacji Europy i świata. Świadczą o tym również i obecne już osiągnięcia italskie, wyrażające się w zbudowaniu szeregu włoskich osiedli, a pokrywające zielonością i nadające życie martwym jeszcze niedawno piaskom pustyni i zupełnie jałowym przestrzeniom stepu.

Geograficzna sytuacja Libii uzależnia jej terytoria od rywalizujących wpływów klimatycznych Śródziemnomorza i Sahary, co decydująco wpływa na ogromną niestałość jej klimatycznych warunków. Te przeciwstawiające się ujemne przeważnie wpływy znacznie uszczuplają przestrzenie, które w tej tak rozległej kolonii mogą się nadawać dla celów kolonizacyjnych. Brak wszelkich bogactw kopalnianych jeszcze znaczniej ogranicza jej gospodarcze możliwości. Waloryzacja tych ziem utrudniona ponadto jest jeszcze tym bardziej, że rolnictwo i hodowla, jedynie możliwe gałęzie ludzkiego zatrudnienia w tej kolonii, narażone są na masę wszelkiego rodzaju przeszkód. Niedostateczność zasobów wodnych, zmusza bądź do wydobywania jej z głębin ziemi, dochodzących do 500 mtr., bądź do kosztownych urządzeń konserwacyjnych, powiększających ogromnie koszta eksploatacyjne. Skąpość opadów atmosferycznych, sama już dostatecznie ujemnie oddziaływująca na możliwości rolnicze, jeszcze jest bardziej potęgowana ich skoncentrowaniem w okresie paru zaledwie miesięcy zimowych. Gwałtowne zmiany temperatur poszczególnych sezonów, a nawet i poszczególnych pór dnia, uniemożliwiają wegetację wielu roślin, które znoszą i znacznie niższe, lecz mniej gwałtownie zmieniające się, temperatury. Gorące wiatry pustyni, osuszające atmosferę i glebę, niosą zarazem olbrzymie masy piasków, grzebiących pod swymi zwałami najbardziej nawet pracowite osiągnięcia rolnika.

Poszukując wody w głębokich studniach i wydobywając ją na powierzchnię za pomocą różnorodnych motorów, lub budując w tym celu urządzenia artezyjskie, konserwując wszelkimi sposobami nieznaczne opady atmosferyczne, walcząc przeciwko ujemnym działaniom słonych wiatrów morza i suchych pustyni, oraz przeciwdziałając nagłym i wysokim zmianom temperatury, może rolnik i kolonista libijski osiągać w swej uporczywej pracy dodatnie rezultaty, przy czym będzie to stawać się tym możliwsze, im właściwszy wybierze on sposób uprawy i odpowiedniejszy rodzaj kultury rolnej. Stąd też olbrzymiego znaczenia nabierają doświadczenia rolnicze i naukowo przeprowadzane badania uprawy poszczególnych roślin użytkowych, w najbardziej różnorodnych warunkach ich libijskiej wegetacji. Prace badawcze utrudnione są jednak w tej kolonii całkowicie odrębnymi warunkami jej dwuch prowincji, Tripolitanii i Cyrenaiki, oraz jeszcze bardziej obcymi im warunkami terytoriów południowych, leżących już we właściwej Saharze. O ile bowiem sypkie i mimo swej głębokości mało zasobne w próchnicę gleby Tripolitanii wymagają innej uprawy i innych rodzajów kultur roślinnych niż bardziej zwarte, gliniaste i skaliste gleby Cyrenaiki, o tyle też mniejsze opady, lecz duże względnie zasoby wody podskórnej w Trypolitanii, nie mogą dostarczać wzorów uprawy dla Cyrenaiki, dysponującej nieco większymi opadami, lecz prawie zupełnie pozbawionej wód podskórnych. Wielka niestałość i gwałtowna a częsta zmienność warunków klimatycznych, którymi odznaczają się obie prowincje, lecz w których zmienności te no-

szą swe własne i odrębne cechy, jeszcze bardziej utrudniają prace badawcze, rozpraszają ich wysiłki, podrażają ich koszty, oraz uniemożliwiają jednolite organizowania gospodarczej i racjonalnej eksploatacji tej kolonii. Przeszło siedemset kilometrowa długość pustynnych przestrzeni Syrtu, oddzielająca Tripolitanię od Cyrenaiki, również nie przyczynia się do ułatwienia tej eksploatacji.

Nie zważając jednak na tak utrudnione warunki gospodarczej i rolniczej kolonizacji Libii, sytuacja demograficzna Italii, zmuszająca ją do poszukiwań ujść dla jej wciąż wzrastającego ciśnienia populacyjnego, narzuca jej konieczność przeprowadzenia próby osiedlenia metropolitalnej nadwyżki ludnościowej na terytoriach tej kolonii. Toż samo doradza również jej polityczna międzynarodowa i śródziemnomorska sytuacja. Podniesienie bowiem gospodarczych i demograficznych walorów tego strategicznie tak ważnego kraju nad Śródziemnomorzem, może z niego utworzyć w przyszłości samowystarczalną bazę, zdolną rzucić na szalę przyszłych międzynarodowych rozgrywek swe wzmożone ludnościowe i gospodarcze zasoby.

Jeżeli podstawowych czynników społegowanego obecnie kolonizacyjnego wysiłku Italii w Libii należy szukać w założeniach społecznych i politycznych, nie można jednak powiedzieć, że jest on całkowicie pozbawiony określonych podstaw gospodarczych i zwykłych kalkulacji handlowych. Występując przeciwko zarzutowi nieekonomicznych założeń irygacyjnej gospodarki libijskiej, jeden z rolniczych kierowników Libii wskazuje na szereg przykładów, mówiących, że kultury rolnicze, użytkujące wody podskórne, wydobywane z dużym nakładem kosztów, nie są tak całkowicie nieekonomiczne. Dowodów tego dostarcza mu gospodarka irygacyjna Kalifornii, użytkująca ten system mimo stosunkowo dużych zasobów wód naziemnych, oraz Indyi, eksploatujących wody podskórne dla użyźnienia przynajmniej 1/3 całości swych ziem irygowanych. Zastosowanie tego systemu nie pociąga za sobą, według tegoż autora, olbrzymich kosztów, związanych z urządzaniem masy kanałów odprowadzających wody z głównego źródła, lecz umożliwia indywidualne urządzenia irygacyjne w każdym poszczególnym gospodarstwie, niezależnie i bez komplikującego związku z innymi. W świetle rozważań tegoż autora, zagadnienie rentowności libijskiej gospodarki rolnej zależne jest od wyboru najwłaściwszej kultury roślinnej, jej najbardziej racjonalnego zorganizowania oraz od maksymalnego obniżenia kosztów budowy urządzeń studziennych.

Przeprowadzane w tym kierunku od paru już lat badania, skoncentrowane zostały nie tylko na polach doświadczalnych i w laboratoriach rolniczych instytucji rządowych, lecz również szeroko są stosowane i na terenach osób prywatnych, lecz na koszt i pod nadzorem tych fachowych instytucji. Systematycznie i szeroko przeprowadzane doświadczenia wykazały dowodnie, że umiarkowanie stosowana irygacja, oraz właściwy dobór kultur, mogą wydać rezultaty, wytrzymujące krytykę zwykłej kalkulacji handlowej. Z tych bowiem doświadczeń wynika, że hektar roli, obsiany zbożem w naturalnych warunkach uprawy, wydawał przeciętnie od 2,5 do 3,5 kwintala plonów, natomiast hektar pól zirygowanych udziesięciokrotniał te plony, przynosząc przeciętnie od 20 do 40 kwintali. Rezultaty podobne osiągało się również i w roślinnych kulturach furażu oraz lnu. Kultury sadownicze, jak oliwki, migdały, pomarańcze i winogrona, dające możliwe plony w naturalnych dla Libii warunkach uprawy, w wypadkach ich zirygowania nie tylko uwielokrotniały swą wydajność, lecz również znacznie przyśpieszały okresy swego owocowania. Oglądając w czasie swej podróży wzdłuż Libii te dwa rodzaje gospodarstw rolnych, mogliśmy dowodnie stwierdzić kolosalne różnice w samym tylko zewnętrznym wyglądzie tegoż samego rodzaju roślin, sadzonych równocześnie na terenach zirygowanych oraz na glebach o suchej uprawie. Łatwo mogliśmy też zrozumieć, że rozrośnięte i potężnie rozgałęzione drzewka sadów zirygowanych z większą łatwością mogły wydawać i dźwigać na sobie dziesięciokrotnie większe plony niż skromne w wymiarach i słabowite z wyglądu egzemplarze na glebach suchych.

Zagadnienie urentownienia rolniczej gospodarki libijskiej sprowadza się więc do kwestii możliwego obniżenia kosztów wydobycia z głębi ziemi metra sześciennego wody, wynoszące obecnie od 0,05 do 0,20 lirów. Biorąc to pod uwagę, cały wysiłek libijskich władz kolonialnych zmierza obecnie do natężenia budowy studzien artezyjskich w poszczególnych gospodarstwach plantacyjnych, oraz do maksymalnego obniżenia ich kosztów. W tym również celu polityka wodna rządu kolonialnego ułatwia wszelkimi sposobami przedsiębranie takich robót przez prywatnych właścicieli i koncesjonariuszy, udostępniając im najróżnorodniejszego rodzaju kredyty i bezpośrednią pomoc finansową. Ostatnio utworzono nawet specjalny urząd, bogato zaopatrzony w najbardziej nowoczesne przyrządy wiertnicze i powierzono mu intensywne poszukiwania wodne oraz urządzanie w warunkach najbardziej ekonomicznych jej rolniczej utylizacji. Koszty takich robót obciążają oczywiście właścicieli terytoriów, na których są one przeprowadzane, lecz tylko w wypadkach osiągnięcia możliwej do użytkowania warstwy wodnej i są spłacane w możliwie najdłuższych i najdogodniejszych ratach.

O ile doświadczenia i obliczenia libijskich specjalistów kolonialnych i rolnych dowodzą rentowności zirygowania możliwie maksymalnej powierzchni Tripolitanii, polityczne i społeczne założenia italskiej kolonizacji w Libii również wyraźnie przemawiają za takimiż koniecznościami. W samej bowiem rzeczy, zirygowanie rolnych gospodarstw Libii uwielokrotni ich zbiory, umożliwiając wyżywienie znacznie liczniejszej ludności, oraz zatrudnienie przy tym pokaźnie większej ilości rąk roboczych. Zaznaczające się ostatnio italskie kolonizacyjne tendencje tworzenia małych gospodarstw rolnych, uzasadnione populacyjnymi stosunkami metropolii, jej międzynarodową i śródziemnomorską sytuacją polityczną, jak również i ogólnymi założeniami reżymu faszystowskiego, w takim tylko zwaloryzowaniu terytoriów libijskich mogą znaleźć istotne ułatwienie swych rozwiązań.

NA MARGINESIE

Udział Naczelnego Wodza, Marszałka Rydza-Śmigłego, w uroczystości rocznicowej jednej z akademickich korporacji Stolicy wywołał żywe zainteresowanie i gorące dyskusje.

W ocenie powyższego faktu przeważają głosy, które punkt ciężkości zagadnienia chcą widzieć na płaszczyźnie jak gdyby pewnego przesunięcia o charakterze partyjno-politycznym w zakresie układu wewnętrznych stosunków w państwie.

Sprawie tej nie odmawiamy tego rodzaju znaczenia. Jednakże wydaje nam się, że istota jej może być w ten sposób nad miarę zwulgaryzowana.

Przykładów tego rodzaju zwulgaryzowania nie trzeba szukać zbyt daleko.

Niezmiernie charakterystyczne było już przemówienie jednego z uczestników uroczystości, który— dla podkreślenia wagi chwili — wdał się w wysoce nietaktowne w formie a naiwne w treści rozważania na temat przeciwstawności obozu niepodległościowego i obozu narodowego. Ton wprowadzony przez niefortunnego mówcę znalazł swe odbicie w następstwie w wielu komentarzach prasowych.

Wydaje nam się, że w danej sprawie właściwsze byłoby inne podejście.

W całym okresie kilkunastu lat naszych dziejów po odzyskaniu Niepodległości spotykaliśmy co jakiś czas — mniej lub więcej określone, mniej lub więcej silne — skłonności do anarchicznego poglądu, jakoby stosunek do Armii mógł być w takiej, czy innej mierze funkcją i wykładnikiem politycznego programu i politycznego stanowiska poszczególnych czynników naszego życia wewnętrznego. Zapominano niekiedy, że stosunek ten może i musi być zarówno funkcją, jak wykładnikiem, innego faktu, znacznie głębszego, to jest faktu współodpowiedzialności każdej jednostki i każdej zorganizowanej siły za teraźniejszość i przyszłość Państwa i Narodu Polskiego.

Nie chcemy zastanawiać się nad genezą tego rodzaju zjawiska. Nie chodzi nam o ustalanie czyjejkolwiek winy, czy czyjejkolwiek odpowiedzialności. Nie mniej fakt tego rodzaju istniał i był nienormalny.

W przebiegu i charakterze uroczystości, w której wziął udział Wódz Naczelny Wojska Polskiego, tonem zasadniczym było podkreślenie, że reprezentowane na tej uroczystości koła młodszych i starszych jej uczestników zdają sobie należycie sprawę z tego, że w stosunku do Armii nie ma miejsca na stosowanie kryteriów, wynikających z różnic światopoglądów politycznych, czy taktyki partyjnej.

Fakt ten sam przez się jest niewątpliwie dodatni. Znaczenia jego nie trzeba jednak pomniejszać przez redukcję moralnej wartości składanych deklaracji na rzecz ich rzekomego znaczenia politycznego. W ten sposób niesłychanie łatwo można dokonać zupełnego odwrócenia sprawy i z tego, co może być dobrym przykładem właściwego, bo nie politycznego, lecz patriotycznego — stosunku do Armii, uczynić rażący przykład stosunku wysoce niezdrowego, bo wypływającego z rachub i przewidywań politycznych.

Sprawa ta dotyka istoty tak dziś popularnego zagadnienia konsolidacji narodowej. Kto chce zagadnienie to ujmować przede wszystkim w sposób mechaniczny, musiałby do zagadnienia komersu Arkonii podejść przede wszystkim z pytaniem, czy istotnie przez tę sferę myśli i wpływu prowadzi droga do źródeł siły polskiej, do źródeł siły społecznej trzydziesto-cztero-milionowego Państwa. Wówczas — naszym zdaniem — odpowiedź musiałaby być negatywna. Lecz jeśli cechy tego rodzaju akcji widzieć będziemy nie w mechanicznym wiązaniu, lecz we wzmożeniu wzajemnego stopnia zaufania w istotny patriotyzm różnych składników życia polskiego — to — nie przeceniając zresztą znaczenia sprawy — w przeważającym tonie przemówień, wygłoszonych na uroczystości Arkonii, dostrzeżemy pierwiastki zdrowego poczucia, że w całości życia Państwa są rzeczy, do których stosunek układać się musi na podstawie innych kryteriów, niżeli wypływające z przesłanek grupowo-politycznych.

I wówczas rola Wodza Naczelnego w budzeniu, czy umacnianiu, tego rodzaju poczucia będzie nie tylko zrozumiała, lecz i naturalna.

KONTO P. K. O. 11.144

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Rokowania dyplomatyczne

(z. d.) Koronacja ściągnęła do Londynu mężów stanu pięćdziesięciu państw świata. W ten sposób Londyn zdystansował, jako miejsce spotkań politycznych, Genewę. Do Genewy nie przyjeżdżają, np. ministrowie niemieccy i japońscy. Jest to dla mężów stanu innych państw utrata sposobności odbycia z nimi rozmów nieoficjalnych, które dla rozwoju polityki międzynarodowej mają wielkie znaczenie. Jest to również stracona sposobność dla Niemców i Japończyków. Otóż Londyn, do którego ściągnęła polityków koronacja, dał im to, co tracili przez swą nieobecność w Genewie: możność dokonania wymiany poglądów.

Z pośród rozmów, jakie obecni w Londynie przedstawiciele mocarstw przeprowadzili na przyjęciach oficjalnych i przy specjalnych spotkaniach, niektóre zwracają na siebie szczególną uwagę. Tak naprzykład gen. Gamelin odbył dłuższą rozmowę z marszałkiem von Blombergiem. Krążyły pogłoski, że to spotkanie, które miało miejsce na jednym z przyjęć, doszło do skutku dzięki korzystnej atmosferze, jaka panowała podczas uprzedniego spotkania min. Edena z naczelnym wodzem armii niemieckiej, reprezentującym swój kraj na koronacji. Rozmowa w cztery oczy wodzów naczelnych Niemiec i Francji nie moze nie mieć korzystnego wpływu na załagodzenie rozbieżności, istniejących obecnie między tymi państwami. Doniosłe znaczenie miał również fakt, że min. Eden rozmawiał właśnie z marsz. von Blombergiem. Była to bowiem z jednej strony rozmowa angielskiego ministra spraw zagranicznych z jedną z czołowych osobistości politycznych Trzeciej Rzeszy; wiemy, że po rozczarowaniach, jakie przyniosła Niemcom interwencja w Hiszpanii, dokonana wbrew opinii szefów armii, pozycja polityczna armii w Rzeszy znacznie się wzmocniła. Z drugiej zaś strony min. Eden rozmawiał z przedstawicielem Niemiec, którym w tym wypadku nie był amb. Ribbentrop, do którego członkowie rządu angielskiego odnoszą się z niechęcią, ani też gen. Goring, który przez swe wiecowe oświadczenia, że Anglia „skradła" Niemcom kolonie, a „zrabowała" złoto, a także przez swe niezwykle częste podróże do Rzymu — jest z pośród kierowników Rzeszy tym, który ma w Anglii najmniejszy kredyt.

A więc dobroczynna dla stosunków angielsko - niemieckich koronacja! Tylko dzięki niej angielscy mężowie stanu mogli się zetknąć z wielką osobistością polityczną Trzeciej Rzeszy, która nie ma ust „splamionych" grubiaństwami, wypowiadanymi na meetingach partyjnych pod adresem Anglii. I wydaje się, że pierwsze lody, które zebrały się między Anglią a Niemcami, zostały w Londynie przełamane. Z pewnością nie zostały nawiązane żadne konkretne nici, ale wytworzono atmosferę odmienną od tej, którą stworzyły uprzednio pasjonackie gadulstwa hitlerowskich proroków i słynne nietakty ambasadora Ribbentropa.

Japonia była reprezentowana przez następcę tronu ks. Chichibu. Zwracało uwagę, że ks. Chichibu, udając się do Londynu, wybrał drogę przez Waszyngton, gdzie się zatrzymał celem wejścia w kontakt z Białym Domem. Dobry to znak dla „paktu Oceanu Spokojnego", o którym coraz więcej się pisze w stanach Zjednoczonych, w Anglii i w stolicach Pacyfiku. Następca tronu japoński, wychowanek uniwersytetu w Oxfordzie, miał również, wedle pogłosek mających wszelkie szanse prawdopodobieństwa, starać się przygotować w Londynie grunt dla odnowienia dawnej przyjaźni angielsko - japońskiej, która nawiązała się po to... aby Japonja mogła potem pokonać Rosję. Rozmowy, jakie ks. Chichibu przeprowadził w Londynie, miały nie cichnące echo. Pisano np. ostatnio, że ambasador Japonii w Londynie ma niebawem uczynić Anglii propozycję podziału wpływów w Chinach Anglia uznałaby Mandżuko i przystałaby na dalszą penetrację polityczną Japonii do Chin północnych, a Japonia ze swej strony pozostawiłaby dla ekspansji brytyjskiej Chiny południowe. Wszystko to, oczywiście, są pogłoski. Nie wiadomo, czy Anglia i Stany Zjednoczone będą chciały pomagać Japonii, chociażby biernie, w ponownych przygotowaniach do wojny z Rosją. Skutki zwycięstwa z roku 1905 nie są dla obu krajów anglosaskich do pozazdroszczenia. Jakież konsekwencje pociągnęłaby za sobą przegrana Rosji? — Pewnie atak Japonii na pola naftowe i kopalnie cyny w Indiach Tylnich i na wyspach Malajskich, oraz na urodzajne pola Filipin.

Włochy na koronacji nie były reprezentowane. Początkowo Włochy odwołały tylko wyjazd na koronację następcy tronu ks. Piemontu, gdyż zaproszony został tak samo ex Negus, Haile Selassie. Byłoby to, istotnie, dla cezariańskiego dziedzica żenujące spotkanie. A w dodatku, przed samą koronacją, prasa angielska zaczęła się rozpisywać obszernie na temat porażek, jakie w Hiszpanii ponieśli ochotnicy włoscy. Korespondenci angielscy w Hiszpanii opisywali to z niezwykłą plastyką, malującą wprost operetkowe tchórzostwo żołnierzy włoskich. Włochów doprowadziło to do pospolitej pasji; wytworzyła się atmosfera awantury studenckiej, nie licująca z doniosłością spraw, jakimi zajmują się politycy. Duce postanowił zbojkotować całkowicie koronację. Odwołał z Anglii wszystkich bez wyjątku korespondentów pism włoskich, a pismom angielskim, za wyjątkiem trzech, sympatyzujących z Niemcami i Włochami, odebrał debit na terytorium Włoch. Reakcja Anglii na to nie była z pewnością taka, jakiej się spodziewał Mussolini. Gest jego spotkał się w Anglii z obojętnością nie pozbawioną akcentów lekceważenia. Foreign Office skierował sprawę na zwykłe tory wyjaśnień dyplomatycznych, uchylając się od dawania prasie komentarzy i na tym koniec. Nie ulega wątpliwości, że gest Mussoliniego trafił niejako w próżnię. Tylko, zdaje się, że Anglicy osiągnęli swój cel: pozbycia się Włochów na światowym zjeździe mężów stanu w Londynie. Można przypuścić, że Anglii, która, choć może i myśli o trwałym porozumieniu z Włochami, zależy narazie na ich zaszachowaniu. W takim razie odsunięcie na bok Włochów z terenu, na którym mieli spotkać się i wymienić poglądy mężowie stanu wszystkich państw świata, a w pierwszym rzędzie wielkich mocarstw, było zręcznym posunięciem. Włochy zostały faktycznie wyeliminowane z rozmów międzynarodowych w momencie, który bez wątpienia dla losów świata jest przełomowy. Włochy i tak już od przeszło roku ustąpiły z terytorium genewskiego. A że na terenie dyskusji międzynarodowej im zależy, dowodzi choćby to, że nie występują z Ligi Narodów. Może więc Mussolini, gdy minął pierwszy jego gniew wywołany przykrymi komentarzami o jego wojskach, walczących w Hiszpanii, odczuł, że Włochy brną w coraz to dalsze odosobnienie od wielkich mocarstw i w ten sposób wchodzą w zależność od Niemiec. W tym sensie można tłomaczyć pojednawczy ton, jaki dał min. Ciano swemu exposé o polityce zagranicznej, wygłoszonym w parlamencie faszystowskim. Szczególnie zwrócił w tym exposé uwagę ton, w jakim były utrzymane słowa, odnoszące się do stosunków z Francją. Ton ten wyrażał wprawdzie niezbędną rezerwę, ale i rzeczywistą chęć współpracy. Nic w tym zresztą dziwnego, gdyż „oś Berlin — Rzym" jest wytworem konjunkturalnym, a przyjaźń włosko-francuska odpowiadałaby logice geopolitycznej i rzeczywistym, trwałym interesom mocarstwowym Włoch.

Minister Ciano zwrócił specjalną uwagę w swym exposé na to, że Francja nie posiada obecnie w Rzymie ambasadora, co utrudnia obu państwom współpracę. Uprzedni ambasador de Chambrun ustąpił ze swego stanowiska ze względu na zbyt wielkie różnice polityczne, dzielące go od rządu Frontu Ludowego. Nie uznanie de jure przez Francję aneksji Abisynii wytworzyło zaś sytuację, że nowy ambasador nie mógłby złożyć Wiktorowi Emanuelowi listów uwierzytelniających. Francja mogłaby je zaadresować tylko do króla Italii, a Mussolini wymaga adresu do króla Italii i Cesarza Etiopii. Włochy i Francja muszą więc czekać na chwilę, kiedy Liga uzna aneksję Abisynii. Kto jednak wystąpi w Genewie z podobną inicjatywą? — Myślimy, że... Polska. Już w swym grudniowym exposé w Sejmie min. Beck znalazł sposobność do aluzji o nieuznaniu de jure aneksji Abisynii, jako o negatywnym czynniku współpracy międzynarodowej. Teraz znów słychać, że min. Beck konferował w Londynie na temat Abisynii z min. Edenem. Może zbyt daleko zaszli niektórzy, mówiąc, że min. Beck starał się pośredniczyć między Włochami i Anglią. Ale w każdym razie starania jego w sprawie abisyńskiej torują drogę ku wyrównaniu stosunków włosko - francuskich.

Powrót do przyjaznych stosunków Włoch i Francji tchnąłby strumień świeżego powietrza do politycznej atmosfery dunajskiej. Tu Polska, wskutek nieufności, panującej na alpejskiej granicy Francji, napotyka poważne trudności w swych twórczych wysiłkach. Z drugiej znów strony z zamieszania, wywołanego w basenie Dunaju rozbieżnościami włosko-francuskimi, ciągnie korzyści Rzesza Niemiecka. Korzyści te są wprawdzie bardzo powierzchowne i mają wszelkie cechy przejściowości, ale niemniej są osiągane. Rozmowy, jakie prowadził austriacki minister spraw zagranicznych z ministrami Delbosem i Edenem wskazują, że Austria przygotowuje sobie grunt na Zachodzie na wypadek, gdyby te korzyści niemieckie miały się stać zbyt realnymi. Narazie Austria trzyma się wiernie w ramach protokołów rzymskich i umowy austriacko - niemieckiej. Gdyby jednak dalsze pogłębianie się różnic, dzielących obecnie Włochy od Francji i Anglii, spowodowało ustępowanie Włoch w basenie Dunaju przed Niemcami, to Austria musiałaby pomyśleć o jakimś nowym oparciu. Narazie należy się spodziewać, że Austria będzie się starała zbliżyć do mocarstw zachodnich na gruncie genewskim, gdyż jedynie ta droga nawiązania kontaktu nie stoi w sprzeczności ze zobowiązaniami, jakie Austria ma względem Włoch i Niemiec.

Po zamknięciu „koronacyjnego" rozdziału „kontaktów" międzynarodowych, nici, nawiązane w Londynie, snują się dalej. Z nich najważniejsza jest nić hiszpańska. Wedle krążących pogłosek ministrowie Delbos i Eden omówili w Londynie szczegółowo możliwości mediacji między oboma obozami hiszpańskimi. Jest w projekcie wycofanie ochotników cudzoziemskich, aby wojnie domowej nadać charakter wyłącznie hiszpański. Obaj ministrowie są podobno przekonani, że ten charakter hiszpańskiej wojny domowej oznaczałby... pokój. Może mają i rację. W każdym zaś razie wycofanie ochotników obcych przyspieszyłoby chwilę zawarcia pokoju. Dyplomacja francuska i angielska, którym zależy szczególnie silnie na tym, aby kryzys hiszpański został jak najprędzej zakończony, nie szczędzą u mocarstw zainteresowanych — Włoch, Niemiec i Rosji — wysiłków, aby otrzymać od nich zgodę na sanację atmosfery hiszpańskiej. Definitywna odpowiedź tych trzech głównych kombatantów hiszpańskich będzie również wskazówką, czy ogólna sytuacja europejska doszła już do definitywnego odprężenia.

Konto P. K. O. 11.144

SPRAWY KULTURALNE

Program letni Radia

W audycji Biura Studiów z 5 maja b. r. usłyszeliśmy przykrą zapowiedź zmniejszenia w okresie letnim ilości transmisji muzyki poważnej. Zapowiedź ta jest ciosem dla wszystkich melomanów, tym bardziej przykrym, że już nieodwołalnym, nie usuwającym jednak narzucającego się z gorzką udręką pytania: dlaczego tak się stało i dlaczego tak się dzieje? Ankieta w sprawie programów, wola większości narzuciła taką decyzję? Zapewne, choć wiadomo z doświadczeń każdego odcinka życia, że nie zawsze racja jest po stronie większości. Możliwe więc, że odegrał tu rolę jeszcze jakiś czynnik, coś jakby tradycja — zwyczajem ugruntowane przekonanie.

Musi to być czynnik bardzo ważny, jeżeli prowadzi do przekonania, że w okresie letnim ogarnia ludzi jakaś niewysłowiona płochość usposobienia, niedopuszczająca do słuchania poważnej muzyki. Czyżby to stwierdzała psychologia? Czy w okresie letnim zmniejsza się napięcie twórczości ludzkiej — czy poeci przestają pisać, muzycy komponować a uczeni myśleć? Przecież nie! Tak samo więc wątpliwe jest zmniejszenie się popytu na twórczość artystyczną.

Pewne przesądy na ten temat wytworzył zapewne przykład miast i praktyki teatralnej. Wydaje mi się, że radio niesłusznie zapomniało o wyemancypowaniu się pod tym względem, i na tym odcinku jeszcze pozostaje w zależności od swej macierzy — teatru i sali koncertowej. Życie kulturalne miasta istotnie zamiera w okresie letnim. Jest to czas urlopów i wyjazdów na letniska. Teatry pustoszeją, bo zwykła ich publiczność przeniosła się na wieś, nad morze i w góry, a tych, którzy pozostali odstrasza duszność sal widowiskowych. Imprezy artystyczne dostosowuje się więc do tej publiczności, która rzadko z nich korzysta, a jeśli, to znęcona programem szczególnie atrakcyjnym i łatwym.

Było tak zresztą do niedawna. Obecnie rozwinięty ruch turystyczny powoduje w obliczu miast i pod tym względem zasadnicze zmiany. Centra, które stają się narówni z letniskami miejscami dużego napływu turystów, nie wahają się wprowadzać poważnych imprez jako skutecznej atrakcji. W czasie miesiąca propagandowego Wiednia byłem świadkiem wystawiania w tamtejszej operze całego cyklu „Pierścienia Nibelungów", przy zawsze przepełnionej widowni i widziałem na przedstawieniu „Tristana" wycieczkę nauczycieli bułgarskich, słuchających Wagnera z niesłabnącym zainteresowaniem na stojąco, mimo upał i długie trwanie tej opery. Pomijam przykłady Salzburga, Sopot i widowisk na miejscu starożytnych Syrakuz — dowodzą one tego samego, że chłonność i zapotrzebowanie rozrywek kulturalnych nie słabnie w okresie letnim, ani nie obniża swego poziomu.

Jeśli nawet imprezy artystyczne zamierają w wielkich skupiskach, to równocześnie przenoszą się tam, gdzie wyemigrowała ludność, szukająca świeżego powietrza. We wszystkich większych letniskach Polski obserwujemy w tym czasie organizowanie wielu przedsięwzięć, nie stojących wcale na najniższym poziomie rozrywkowym. Najlepsi aktorzy stolicy udają się w podróże objazdowe, a nawet kina układają swe programy z filmów najlepszych, chociaż znanych już mieszkańcom wielkich miast. Bywało tak i dawniej — z dworem królewskim, przenosił się także jego teatr.

Ucieka się więc z miast nie dla wytchnienia przed nadmiarem doznań artystycznych. Ucieka się przed dusznością i skwarem ulic, domów i sal widowiskowych. Można zaryzykować twierdzenie, że każdy inteligent, uwolniwszy się od codziennych trosk i obowiązków, z tym większą swobodą i szczerością chłonąć będzie strawę kulturalną. (Dowodem tego twierdzenia jest powodzenie letnich instytutów kultury). Strawy tej jednak jest pozbawiony, bo rozproszenie publiczności w wielu miejscach wypoczynkowych nie pozwala na organizowanie kosztownych imprez. Na opery w Sopotach jeździ się z Helu, Jastarni, ale to nie jest dogodne, ani nawet w tym stopniu nie wszędzie możliwe.

I tu nasuwa się wielka możliwość i pole do działania dla radia. Ono bowiem nie jest związane z miejscem nadawania swych audycji. Nie utrudnia kontemplowania sztuki dusznością sal. Cudownym promieniowaniem dosięga swego słuchacza w każdym najbardziej odległym zakątku kraju. Częstokroć wynudzony długą bezczynnością mieszczuch, po przeczytaniu zabranych książek, z chęcią posłuchałby czegoś kształcącego, może nawet z pełną świadomością samouctwa. W mieście swej pracy i wykonywanego zawodu może nie ma czasu i sił na skupienie uwagi w czasie audycji poważnych.

Niech więc Polskie Radio nie skazuje nas na biologicznie nie uzasadniony sen letni wrażliwości i potrzeb kulturalnych, bo tak jak polityka, handel itp. nie zamierają w okresie kanikuły, lecz przenoszą się „w teren" dzięki ułatwieniom komunikacji, tak samo sprawy ducha mogą pozostać żywe dzięki radiu.

Wybudowanie i uruchomienie drugiej radiostacji warszawskiej umożliwia przystosowanie stacji lokalnych do potrzeb opustoszałych miast. Raszyn jednak powinien pracować na poziomie reprezentacyjnym, dostosowanym do potrzeb tej okresowej emigracji. Taśma dźwiękowa i płyty umożliwią nadawanie nieobecnych nawet wykonawców. Wydaje się, że przeszkód nie ma. Czyż można się więc spodziewać, że ponura zapowiedź p. Eydziatowicza się nie spełni?

K. Mal.

O NAS U OBCYCH

Dyskusja o kierunkach polskiej polityki zagranicznej

Ostatnie posunięcia polskiej polityki zagranicznej na odcinku polsko-rumuńskim dały drowi Waldemarowi Leutzowi, nowojorskiemu korespondentowi *„Volkischer Beobachter"*, asumpt do zanalizowania (w n-rze 135 z 15.5) kierunkowych polskiej polityki zagranicznej i do zbilansowania jej efektów na przestrzeni ostatniego roku. Charakterystyczne w wywodach d-ra Leutza jest przede wszystkim ocenianie polityki polskiej jako pewnego wyrazu akcji antysemickiej, co — jak wiadomo — w dzisiejszych Niemczech spotkać się może z uznaniem i aprobatą.

Miniony rok — powiada dr. Leutz — utwierdził politykę polską w przeświadczeniu, że nie potrzebuje ona być wiecznie zdaną na lawirowanie między Berlinem i Paryżem, lecz że może sobie ona pozwolić na przeprowadzanie innych akcji politycznych. Polsce chodziło w tej nowej grze politycznej głównie o to, by na linii Bałtyk — Morze Czarne stworzyć sobie pewien obszar działania i teren własnych wpływów, co prędzej dałoby krajowi pozycję mocarstwową, niż dawniejsza zależność od rachunku z trzema niewiadomymi: Paryżem, Berlinem i Moskwą.

Przystępując do praktycznego realizowania swej nowej koncepcji — ciągnie dalej dr Leutz — polityka polska liczyć się musiała z oporami. W pierwszym rzędzie wart przypomnienia jest fakt, że zainteresowane państwa odniosły się nasamprzód z dużą podejrzliwością do akcji polskiej. Było to wywołane zrozumiałym zdziwieniem, że tego rodzaju akcji politycznej podjęło się państwo, nie będące mocarstwem. Dalszymi punktami oporu musiały być niewątpliwie ścisłe związki zainteresowanych państw z Francją oraz niewiadoma, jaka kryła się za kolosem bolszewickim — Rosją sowiecką. Dr Leutz jest zdania, że strona polska z tym wszystkim liczyła się poważnie od pierwszej chwili przy przystępowaniu do realizowania swej koncepcji politycznej, co uchroniło ją skolei od różnych niespodzianek i pozwoliło osiągnąć szereg sukcesów, do których ostatnio dołączył się sukces na odcinku polsko-rumuńskim.

*

Z głosów zagranicznych, poświęconych omówieniu efektów politycznych niedawnej wizyty rumuńskiej płk. Becka, godzien zanotowania jest głos P. Boncoura, opublikowany na łamach *„La Tribune des Nations"*. P. Boncour, senator i b. premier Francji, z lekkim wyrzutem ocenia pełne rezerwy stanowisko Polski wobec instytucji Ligi Narodów, przede wszystkim zaś oświadczenie płk. Becka o konieczności rewizji obecnych metod dyplomatycznych oraz o konieczności trzeźwiejszej oceny rozmaitych systemów międzynarodowych z lat powojennych. „Jeśli się zestawi — pisze Boncour — te oświadczenia młodego i pełnego aktywności ministra spraw zagranicznych tego starego kraju — wskrzeszonego przez wojnę — ogromnie nam sympatycznego przez swoją młodość i swój dynamizm, z niektórymi stanowiskami, zajętymi przezeń w Genewie i świadczącymi w gruncie rzeczy o niewielkim jego przywiązaniu do Ligi Narodów, która wszak była wobec niego bardzo łaskawa, nie podobna oprzeć się pewnemu zaniepokojeniu z powodu propagandy, jaką faworyzował tym sposobem przez wielki autorytet swej osoby i swego kraju".

Boncour przychodzi tu do przekonania, że fakty powyższe zmuszają stronę francuską do przypomnienia stanowiska, jakie ona zajmuje wobec pewnych metod polityki europejskiej, bo „wszystko to jest jednak wysoce niepokojące i pewne zastrzeżenia, serdeczne, ale wyraźne, wydają się być nieodzowne".

Jakież są tu zastrzeżenia ze strony Francji?

„Polityka Francji — pisze dosłownie P. Boncour — tak na Bałkanach, jak i wszędzie indziej, związana jest bowiem — czy się to komuś podoba, czy nie — z systemem bezpieczeństwa zbiorowego, którego nie możemy porzucić bez obalenia podstaw naszego bezpieczeństwa własnego.

Każde uciekanie się, któregokolwiek z jego partycypantów do układów dwustronnych — jeżeli nie służą one jedynie do wzmocnienia tego systemu bezpieczeństwa zbiorowego — stanowi dla nas klęskę; klęskę tym większą, jeżeli wchodzi się na drogę deklaracji neutralności, których jedynym wynikiem jest to, że pozostawiają wolną drogę napastnikowi.

Albo też — skoro mówi się tyle o rewizji — zrewidujmy nasze własne układy. Stają się bowiem one zbyt ciężkie, jeśli nie zostają wzmocnione powszechnym, bezwarunkowym przystosowaniem się do zobowiązań Paktu postulowanym przez wszystkich tych, którzy twierdzą, że pozostają im wierni, a których wierność jest sama w sobie warunkiem poparcia, jakie możemy im przyrzec, lub jakiego możemy się po nich spodziewać".

Charakterystyczne jest zakończenie wywodów Boncoura, pełne aluzji do całego szeregu posunięć na odcinku spraw polsko-francuskich:

„Układy te nie są — na szczęście — hipotetyczne i leżące w jakiejś dalekiej przyszłości; istnieją one już teraz i funkcjonują już w czasie pokoju, wyrażają się w zbrojeniach, w kredytach, w poradach i kontaktach technicznych. Jakim paradoksem byłoby utrzymywać nadal cały ten stan rzeczy, gdybyśmy nie mieli pewności, że wszystko to nie tylko nie zwróci się pewnego dnia przeciw naszym własnym sprzymierzeńcom, ale ponadto że nie zostałoby — na skutek neutralności, chimerycznej zresztą — sparaliżowane i nie stałoby się bezużyteczne, podczas gdy rozgrywałaby się partia, w którą my sami bylibyśmy wciągnięci przez poszczególne układy, z których każdy z osobna jest ryzykowny, jeśli wszystkie razem nie są stopione w jedną całość".

PRZEGLĄD PRASY

Przeciw Francji czy Blumowi?

W prasie krajowej ukazał się przed paru dniami artykuł, nawołujący do bojkotu Wystawy Paryskiej, jako produktu pracy socjalistów francuskich i jako wyrazu ideowej ententy francusko-sowieckiej. Przeciwko tego rodzaju upraszczaniu zagadnienia formy rządów w zaprzyjaźnionym z Polską kraju wystąpiła katowicka POLONIA (nr. 4521 z 19.5.), pisząc m. in.:

„Wystawa paryska nie jest propagandą, przygotowaną przez taki czy inny rząd, ale wielkim dziełem, na które złożył się olbrzymi wysiłek całego narodu francuskiego, prace, związane z wystawą, podjęto jeszcze za rządu Doumergue'a. Kontynuowano je w okresie trwania gabinetów: Flandina, Lavala, Sorrouta, wreszcie Bluma. O wystawie jako „wielkim dziele Francji", mówił kardynał Verdier. Jakiekolwiek tendencje bojkotowe wystawy spotkałyby się w pierwszym rzędzie z najostrzejszą krytyką całego społeczeństwa. Uważonoby to za akt nieprzyjazny nie pod adresem Bluma czy jakiegokolwiek innego gabinetu, ale za manifestacyjnie nieprzyjazne stanowisko względem Francji. Twierdzonoby, że pod pokrywką antypatii do gabinetu p. Bluma uprawia się propagandę antyfrancuską, propagandę państw wrogich zarówno „Francji Bluma", jak i „Francji de la Rocque'a".

Wskazując przede wszystkim na doniosły fakt, że obowiązuje nas przymierze z Francją, a nie z takim czy innym stronnictwem, z taką czy inną partią, „Polonia" kończy swoje wywody następująco:

„Można być usposobionym więcej lub mniej przychylnie czy nieprzychylnie dla takiego czy innego rządu. Można krytykować dane pociągnięcia, można wyrażać obawy o celowość tych czy innych poczynań. Ale nie wolno przekraczać pewnych granic. Trzeba we wszystkim zachować umiar i takt. Brak tego taktu w ocenie stosunków wewnętrznych sprzymierzonego państwa może spowodować najdalej idące podejrzenia właśnie ze strony tych, których się rzekomo bierze w obronę."

Wnioski

W związku z wizytami marsz. Śmigłego - Rydza w dwóch korporacjach: warszawskiej „Arconii" i wileńskiej „Polonii" oraz echami, jakie te wizyty wywołały, ROBOTNIK (nr. 15 z 23.5.), reasumując głosy prasy na powyższy temat, dochodzi do następujących stwierdzeń:

1) „Prawica typu „Słowo" już stara się wykorzystać komersy dla swych kombinacyj i akcji antyrządowej; 2) jest rzeczą jeszcze niejasną, jak daleko posunie się nowy kurs, czy ograniczy się tylko do pozyskiwania młodzieży; 3) napotyka on widocznie trudności tak po stronie staro-endeckiej, jak też po stronie piłsudczyków, pragnących utrzymania tradycji; 4) komersy przyczyniły się niewątpliwie do dezorientacji i rozprzężenia w obozie sanacyjnym; 5) wielu łączy politykę „Ozonu" z „polityką" komersów w jedną całość— w próbę pozyskiwania żywiołów „narodowo" usposobionych, przede wszystkim młodzieży".

Poza powyższymi stwierdzeniami godna jest jeszcze uwagi zanotowana przez „Robotnika" pogłoska, że w lokalu warszawskiej „Arconii" znajduje się tablica ku uczczeniu „arcończyków", którzy padli w walkach w r. 1926.

Swastyka i Krzyż

KURIER WARSZAWSKI (nr. 139 z 23.5.) zwrócił uwagę na daleko idące następstwa, jakie dla życia Niemiec przynieść może ze sobą walka hitleryzmu z chrześcijaństwem.

„W Niemczech toczy się cicha, lecz niemniej zacięta walka, która może doprowadzić jeszcze kiedyś do fatalnego wyładowania się namiętności, jeżeli prowadzona będzie w obecnej formie. Nieustające spory nacjonal-socjalizmu z katolicyzmem, a właściwie z chrześcijaństwem w ogólności, trzymają całe społeczeństwo niemieckie w napięciu. Prasa niemiecka, w szczególności organy partyjne, t. zn. „Kampfblatter", prowadzą od miesięcy potęgującą się z tygodnia na tydzień kampanię przeciwko Kościołowi katolickiemu, kampanię nie przebierającą w środkach, zdążającą całkiem wyraźnie do zniszczenia Kościoła i katolicyzmu, kampanię, jakiej nie znały Niemcy za czasów kanclerza Bismarcka i arcybiskupa Ledóchowskiego. „Kulturkampf" rozgorzał w całej pełni... Gdy się do tego doda ciągle się powtarzające nowe zakazy, dotyczące organizacji kościelnych czy też katolickiej młodzieży, musi się nabrać przekonania, że ujawnia się tu planowo przeprowadzona akcja, mająca podminować egzystencję katolicyzmu wogóle."

MAŁY DZIENNIK (nr. 136) rozpatruje wyżej przedstawiony stan rzeczy w płaszczyźnie dziejowych zmagań ducha chrześcijańskiego z duchem pogaństwa".

„Pogański kult „siły przed prawem", dążenie do potęgi i pochwała wojny stanowią artykuły wiary narodowych socjalistów, rządu i grupy wojskowej Trzeciej Rzeszy... Z pogańskiej kultury germańskiej czerpie swoje soki zarówno narodowy socjalizm, jak militaryzm niemiecki. Pangermanizm Trzeciej Rzeszy nie jest kwestią tyrad patriotycznych, ale jest istotą polityki i współczesnej kultury niemieckiej".

Jeszcze i dzisiaj pewne odłamy kleru niemieckiego w Rzeszy nie chcą czy nie potrafią dostrzec niebezpieczeństwa, jakie dla życia katolickiego niesie ideologia narodowo-socjalistyczna, cały swój wysiłek kierując ku walce z polskością w kościele i walce z przejawami życia na terenie parafii kościelnych. Strusia to, naprawdę, polityka!

Dwie miary

Organ gdańskich hitlerowców — Der Danziger Vorposten — zaatakował w tych dniach w sposób b. ostry organizatorów zjazdu historyków bałtyckich, skandynawskich i polskich, powołanego z inicjatywy Uniwersytetu Ryskiego i Łotewskiego Towarzystwa Historycznego do Rygi, za pominięcie uczonych niemieckich i niezaproszenie ich na zjazd. Pismo zaatakowało również i prasę polską, która jakoby winna była podkreślić— przy podawaniu notatki na ten temat — że w dobrze zrozumiałym interesie nauki obecność historyków niemieckich w Rydze jest nieodzowna!!

Tymczasem gdyński KURIER BAŁTYCKI (nr. 40 z 21.5.) przypomina zaperzonemu blattowi gdańskiemu, że

„to samo pismo umieściło jednak wiadomość o odbytym w Elblągu zjeździe Hanzeatyckiego Towarzystwa Historycznego z udziałem państw bałtyckich i Niemiec, a bez udziału Polski. Na zjeździe tym poruszone zostały tematy polskie. Gdańsk reprezentowany był przez dr. Bartho, który wygłosił referat o ustroju miasta Gdańska w czasie rządów krzyżackich."

Słusznie więc zapytuje się dalej „Kurjer Bałtycki":

„Dlaczego więc w tym wypadku „Der Danziger Vorposten" nie zdobył się na krytykę i nie wyraził zdziwienia, że do Elbląga nie zaproszono również przedstawicieli nauki polskiej?"

Wydaje się jednak, że odpowiedzi na to pytanie ze strony pisma gdańskiego się nie doczekamy...

Rolnictwo polskie a wojna

Totalny charakter współczesnej walki zbrojnej postuluje m. in. pełne przygotowanie rolnictwa i wsi do wojny. Analizując to zagadnienie na szerszej płaszczyźnie w odniesieniu do stosunków polskich GOSPODARKA NARODOWA (nr. 10 z 15.5). stwierdza co następuje:

„Małe gospodarstwo rolne jest tym gospodarstwem, na którym musimy budować realną koncepcję mobilizacji rolnictwa do obrony państwa w przyszłości.

Z faktu, iż na drobnych gospodarstwach rolnych będziemy musieli opierać mobilizację gospodarczą rolnictwa, wynikają dwie podstawowe wytyczne przy konstruowaniu programu pogotowia rolnictwa.

Po pierwsze, musi być zwrócona specjalna uwaga na organizację drobnych gospodarstw, maksymalne podniesienie ich sprawności produkcyjnej podczas pokoju (metodę, która będzie liczyła się z trudnościami znalezienia odpowiednich środków na inwestycje) oraz utrzymania tej sprawności podczas wojny, gdy np. nastąpi odpływ rąk roboczych. W systemie organizacji drobnego gospodarstwa powinny być przewidziane początki gospodarki wojennej i punkty zwrotne przestawienia się z gospodarki pokojowej na gospodarkę wojenną — bez uszczerbku dla poziomu i jakości produkcji.

Po drugie plan organizacji aparatu zbiorczo-rozdzielczego powinien dawać jak największą gwarancję szybkiej mobilizacji aprowizacyjnej rolnictwa."

W dziedzinie budowy naszego programu przygotowania gospodarczego rolnictwa do obrony państwa wyżej wymienione dwa punkty winny — zdaniem „Gospodarki Narodowej" — stanowić zasadnicze dla tego programu oparcie.

Brudne metody brunatnej propagandy

Na półkach księgarskich pojawiła się książka Konstantego Gilwickiego p. t. „Wywłaszczenie niemieckich posiadłości kolonialnych". Książka ta ukazała się w języku polskim, jakkolwiek forma opracowania tematu, stanowiąca obronę tez niemieckiej propagandy kolonialnej, i niechlujny język wskazują niedwuznacznie na to, że jest to rzecz, która na gruncie polskim mogła ujrzeć światło dzienne jedynie z inicjatywy i przy poparciu pewnych czynników z zewnątrz.

Obszerne uwagi poświęca temu elaboratowi FRONT ZACHODNI (nr. 5), demaskując obrzydliwe chwyty autora w odniesieniu do pewnych wydarzeń i faktów z przeszłości historycznej, nas bliżej obchodzących. Wywody swoje kończy „Front Zachodni" następującą uwagą:

„Niemcom wolno jest prowadzić propagandę na rzecz swoich postulatów kolonialnych. Jeśli jednak czynią to pod pokrywką rzekomej polskości, nie mogą przekroczyć granicy, przez którą z polskiego punktu widzenia zaczyna się coś, co zasługiwałoby tylko na jedno miano: zdrady narodowej i zdrady państwowej."

Warszawski DZIENNIK PORANNY (nr. 139 z 21.5) dodaje jeszcze:

„Trudno powstrzymać się od refleksji nad działalnością naszych niższych organów administracyjnych, sprawujących czynności nadzorcze. Cenzura nie dopatrzyła się widocznie w cytowanej książce cech kwalifikujących ją do konfiskaty, co wydaje się nam co najmniej dziwne. A przecież w kierunku przeciwnym istnieje aż nazbyt często zbędna nadwrażliwość".

Z komunisty — narodowcem...

W drugim dniu procesu bandy Doboszyńskiego zeznawał m. in. Wojciech Brożek, młody, 22-letni handlarz wiejski z Libertowa. WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY (z 22.5.) podaje, że nie tak dawno jeszcze przed wyprawą myślenicką Brożek był członkiem partii komunistycznej.

„Z więzienia, w którym przebywał za komunizm, wyszedł w jesieni 1935 roku. W grudniu zgłosił się do placówki Stronnictwa Narodowego, przyznał się do swej

przeszłości komunistycznej — nie został jednak odraza przyjęty. Musiał przejść kurs kandydatów. Do Stronnictwa Narodowego wstąpił dlatego, że przekonał się o szkodliwości i obłudzie komunizmu. Przekonanie zmienił całkowicie... Przy pomocy Stronnictwa został handlarzem, pożyczono mu pieniądze."

Powyższe informacje organu endeckiego o Brożku warto skonfrontować z autentycznymi wypowiedzeniami oskarżonego poczynionymi w czasie przewodu sądowego.

Oto, co mówi Wojciech Brożek o sobie (cytujemy za łódzką REPUBLIKĄ — nr. 137 z 21.5):

„Sędzia STĘPNIEWSKI: — Skąd u pana taki pociąg do polityki, wpierw komunista, po tym narodowiec?

OSKARŻONY: — Ja się interesowałem zawsze polityką. Gdy program komunistyczny przestał mi się podobać, przestałem być komunistą. Później słyszałem, że narodowcy namawiają, by wziąć się do handlu, więc wstąpiłem do Str. Narodowego i zacząłem handlować.

Adw. STYPUŁKOWSKI (obrońca osk.): — Czy pana tak przyjęli odrazu od komuny do Str. Narodowego?

OSKARŻONY: — Tak.

Adw. STYPUŁKOWSKI: — Czy pan przedtem nie przeszedł kursu przygotowawczego?

OSKARŻONY: — Nie, odrazu mnie przyjęli.

Adw. STYPUŁKOWSKI: Czy pan nie wie, że są kursy przygotowawcze w Str. Narodowym?

OSKARŻONY: — Nie wiem.

Adw. KUŚNIERZ: — Pan pewnie, siedząc w więzieniu za komunizm, dużo rozmyślał i przyszedł do przekonania, że komunizm jest zły?

OSKARŻONY: — Nie, wcale nie rozmyślałem.

Adw. KUŚNIERZ: — więc kiedy pan wreszcie zmienił swe przekonanie?

OSKARŻONY: — Później. Narodowcy pożyczyli mi pieniędzy, żebym mógł handlować."

Oto, jak wygląda profil duchowy tego członka Stronnictwa Narodowego!

WŚRÓD KSIĄŻEK

KAZIMIERZ LUBOŃ - KAMIEŃSKI. Nakł. Stow. Politechników petersburskich w Warszawie. 1936.

Dwadzieścia minionych lat oszałamiających zdarzeń, tytanicznych zmagań się i przeżyć, nie przyćmiły w pamięci kolegów petersburskich promiennej postaci Kazika Kamieńskiego. Niepoślednej miary był człowiek, ku któremu tak często bierzy myśl bliskich z daremnym pytaniem: coby dziś w tym, czy innym ważkim momencie zadecydował ukochany wódz młodości? Był Kamieński z rzadkiego gatunku tych, którym „władza sama w ręce wchodziła", by piastowali w pełni odpowiedzialności rząd dusz nad niesforną rzeszą akademików, a ci wodzowie przedziwnie szlachetni równocześnie nie pięli się po zaszczyty i mogąc zostać od pierwszego dnia oficerami, spełniali sumiennie szary trud żołnierski, z radością przyjmując nominację na... kaprala.

Z niepokojem serdecznym zastanawiają się koledzy, jak postąpić, aby książka o Luboniu „nie była potraktowana tylko jako zbiór strzępów historycznych Wielkiej Epoki... lecz, aby się stała czymś żywym, obrazującym możliwie najwierniej klimat i gorącość dni naszych młodych, lecz aby odtworzyła i pozwoliła zrozumieć i odczuć szlachetną postać tego, który najsłuszniej i najbezsprzeczniej był ongi pierwszą osobą polskiego życia akademickiego w Petersburgu".... (Str. 3).

Cel został osiągnięty. Uniknięto wszelkiego patosu i nie tylko ożywa przed oczyma czytelnika sam Kazimierz Kamieński, wzorowy syn, najmilszy kolega, ale z nim uzmysławia się obraz przedwojennej młodzieży realnie występują jej dążenia, prace, cele. I uchyla się rąbek tajemnicy, jak to się stało, że młodzież wychowana na kresach od pierwszego dnia wojny stanęła w szeregu legionistów. Jakby wyjaśniło się, dlaczego dla wielu z tych młodych, którzy przez kordony przedrzeć się nie zdołali, Piłsudski był od 1914 roku wodzem, którego rozkazy otrzymywane poprzez fronty, starali się święcie wykonywać.

Mimo bezkresu jaki dzieli młodzież przedwojenną od obecnej, książka o Luboniu powinna się znaleźć we wszystkich bibliotekach gimnazjów i liceów. Może sam „egzotyzm" — pociągnie młodych czytelników i zadrgają w gorących sercach struny, na których ongiś tak pewnie grać umiał Komendant Piłsudski, struny, które „bite pieśnią zapału nie pękną".

Z. D. K.

Janusz Rabski. ALMA MATER. Powieść. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha. Str. 382.

Wartość artystyczna mniej więcej na poziomie Heleny Mniszkówny. Szablonowość treści bezkonkurencyjna. Romans zaczyna się od zapoznania dwóch par w wieku typowo narzeczeńskim, przechodzi przez nieuniknione fazy skompromitowania czynników przeszkadzających, kończy ogłoszeniem światu zamiarów małżeńskich. Wszystko w tonie romansu miłosnego przed pogłębieniem jego formy przez psychologiczne metody Józefa Ignacego Kraszewskiego, nie mówiąc już o późniejszych.

Stąd też „powieścią" nie warto byłoby się zajmować, gdyby nie jej tło, jakim jest odmalowanie dziejów jednej z korporacji akademickich Warszawy oraz pewnego etapu walki młodzieży wszechpolskiej o władzę organizacyjną w Bratnich Pomocach oraz o rząd dusz w stosunku do ogółu młodzieży akademickiej Warszawy. Odtworzenie tego tła jest zewnętrznie bardzo ściśle umiejscowione i odmalowane w sposób nie przedstawiający większych trudności odcyfrowania poszczególnych przywódców i działaczów akademickich z przed lat mniej więcej dziesięciu. Podobnie łatwe do odcyfrowania są nazwiska szeregu przedstawicieli t. zw. starszego społeczeństwa, profesorów etc.

Książka jest apologią życia korporacyjnego, jego wartości społecznej i narodowej. I ten tylko moment jest w niej istotnie ciekawy. O korporacjach autor mówi z bezpośredniej obserwacji i bezpośrednich przeżyć. Stąd też obraz wypada dość wierny, w przeciwieństwie do sposobu, w jaki odmalowany jest obóz przeciwników tej korporacji, jak również przeciwników politycznego jej wykładnika „Związku Narodowców". Ci przeciwnicy odmalowani są również według nie najnowszych metod, bo przez zapożyczenie poszczególnych elementów od nieboszczyka Aleksandra Dumasa (ojca). Działają oni przez tajemnicze związki, jako narzędzie polityki żydowsko - masońskiej. W stosunku do niewiernych sobie, lub zbuntowanych, posługują się metodami narzucania samobójstwa, drogą hypnozy na odległość, słowem efekty powieściowe, które w pierwszej połowie XIX wieku miały poważne powodzenie zarówno u pisarzy, jak u czytelników.

Lecz — jak powiedzieliśmy — książka może być ciekawa z jednego punktu widzenia: jako informator o charakterze i ideach akademickich korporacji Warszawy. Tutaj autor włożył nie tylko wiele dobrej woli, ale i szczerego uczucia. Mimo to jednak dla każdego człowieka myślącego obraz przedstawia się ujemnie.

Może najlepiej uzmysłowi to następująca metoda porównawcza. Książka jest poświęcona „współtowarzyszom prac i walk w życiu akademickim", ma być niejako utrwaleniem tego, co było istotą życia korporacyjnego w danym okresie. Otóż jak życie to wygląda w przekroju liczbowym.

Zastosujmy metodę obliczenia, którą lubił zmarły przed laty dwudziestu pięciu „fanatyk matematyki i nauk ścisłych", Bolesław Prus. Gdybyśmy podzielili zgrubsza 380 kart książki według ich zainteresowań tematycznych, to na poszczególne tematy przypadnie:

Miłość około 150 stron, sprawy akademickie — 40 stron, sprawy i zabawy towarzyskie — 30 str., zabawy i komersze korp. — 40 str., kawiarnie — 20 str., nauka i egzaminy — 10 str., pojedynki — 25 str., wyścigi— 15 str., dyskusje polityczne — 30 str., sprawy społeczne — 5 str., różne — 15 stron. Razem 380 stron.

Podział ten nie jest fikcją, aczkolwiek trudno tu o ścisłość absolutną. Warto jeszcze tylko dodać, że dyskusje polityczne, to w 50% ogólne stwierdzenie patriotyzmu, w 50% sprawa żydowska, zaś to, co określiliśmy jako sprawy społeczne, to głównie sprawa pomocy dla kobiety, której jeden z lekkomyślnych członków korporacji, w następstwie wydalony za przyjście do prywatnego domu „z dziewczynką", odmówił płacenia alimentów.

Ta pełnia życia i myśli, odtworzona w książce będącej hymnem pochwalnym na cześć korporacji, jako formy wychowawczej, ma swoją wymowę.

Lecz jeśli chodzi o stronę czysto moralną tego wychowania, to w książce p. Rabskiego znajdziemy również pewien przykład dość charakterystyczny. Otóż jeden z dwóch głównych bohaterów, „książąt niezłomnych" korporacji, ma w pewnym okresie kłopoty finansowe. Niezbyt wielkie, sprowadzają się do potrzeby sprzedania za 1000 złotych pamiątkowego złotego zegarka. Pan Rabski postanowił jednak uwolnić swego bohatera od tej konieczności. W jaki sposób? — Otóż bohater znajduje na wyścigach trzy wygrane bilety totalizatora, za które podejmuje 2.665 złotych. Bohater i moralista nie ma ani chwili wahania, że w danej sprawie jest sytuacja cośkolwiek drażliwa, nie próbuje odszukać właściciela sumy, więcej — zataja sprawę nawet przed swymi najbliższymi przyjaciółmi z korporacji. Słowem postępowanie, które jeśli może być wątpliwe z punktu widzenia kodeksu karnego, to nie może budzić najmniejszych wątpliwości z punktu widzenia moralnego. W rezultacie czytelnik ciągle oczekuje, że sprawa skończy się kryminałem, lub przynajnajmniej poważnymi nieprzyjemnościami. Autor, co do oceny tego faktu, ma zdanie zupełnie inne: „szczęście mu dopisało". Ładne szczęście i wysoka moralność.

Zaopatrzony w tego rodzaju ilustracje faktyczne, entuzjastyczny hymn p. Rabskiego na cześć korporacji spotkał się z bardzo pochlebnymi ocenami w szeregu pism polskiej prawicy nacjonalistycznej. Czyżby książka ta była czytana przez recenzentów tak nieuważnie?

S.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedynczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem